Akc. 88/91

80.000.—

MŁODOŚĆ
FRYDERYKA SZOPENA,

(Rok 1830 i następne).

PRZEZ

Maurycego Karasowskiego.

Oddruk z Biblioteki Warszawskiéj, 1869 roku.

Stanisław Niedzielski

WARSZAWA.
W drukarni Gazety Polskiéj.
1869.

TOWARZYSTWO IM. F. CHOPINA W WARSZAWIE BIBLIOTEKA
BIBLIOTEKA TOWARZYSTWA IM. F. CHOPINA
B/1 8549
kat./12

Дозволено Цензурою.

Варшава 8 Мая 1869 года.

I.

Fryderyk Szopen w rodzinném swém mieście Warszawie, odebrał pierwotne ukształcenie muzyczne; tu on poczuł się do wielkiego zawodu, do jakiego natura go powołała, tu począł piérwsze kroki stawiać na polu sztuki, która na wyniosłém jego czole miała wkrótce położyć znamie nieśmiertelności. Przejęty posłannictwem swém i ufny już w siły artystyczne, powziął zamiar obeznać się bliżéj z tém, co sztuka uczyniła wśród wielkich ognisk artystycznych i wydalić się w tym zamiarze za granice kraju rodzinnego. Włochy były pierwszym celem jego podróży; tamto w ojczyznie wielkich mistrzów melodyi dramatycznéj, obiecywał on sobie w ciągu lat dwóch przynajmniéj, udoskonalić i uzupełnić wykształcenie swoje muzyczne. Już w poprzednich dwukrotnych za granicę wycieczkach, lubo raczéj w celach rozrywki i zabawienia się, aniżeli nauki przedsiębranych, mógł Szopen na-

(1) Dziecinne lata Szopena i jego pierwotne kształcenie opisane były w *Bibliotece Warszawskiéj* za miesiąc październik 1862 r., przez autora obecnego artykułu (Przyp. Red.).

brać przekonania, iż w Niemczech podówczas, jakkolwi sztuka muzyczna dosyć wysoko stała, przecie instrumentalistom brakło jeszcze w ogólności owego rozwinięcia technicznego, które późniéj do takiéj świetności wykonania doprowadzić tamże miało muzykę koncertową i salonową. Ostatnie *symfonie* Beethowena, ostatnie jego *kwartety*, *msza solenna*, tudzież skrzypcowe i fortepianowe *koncerty*, pod względem technicznym, uchodziły powszechnie za dzieła niepodobne prawie do wykonania. Tylko mała liczba wybranych wirtuozów, odważała się i to najczęściéj nie publicznie lecz pomiędzy sobą jedynie, produkować takowe, ogół zaś publiczności właśnie z tego powodu, ani mógł, ani był w stanie należycie, wspaniałe i wielkie te utwory, pojąć i ocenić. Więc téż przez lat kilkanaście, produkcya muzyczna mianowicie w Wiedniu, Dreźnie i Berlinie, ograniczała się z małemi bardzo wyjątkami, na wykonywaniu dzieł lżejszéj, przystępniejszéj wartości. Jeden tylko Hummel, znakomity istotnie fortepianista, którego dziełom i nasz Szopen wiele swojego wykształcenia mógł zawdzięczać, stał prawie sam jeden, pośród mnóstwa mniéj lub więcéj zdolnych wykonawców; w nim téż skupiało się głównie to, co stanowić mogło skończonego wirtuoza, to jest, piękny, szeroki styl, jasność i niepospolita biegłość wykonania. Wielcy, atoli mistrze symfonii i kwartetów, zeszli kolejno ze świata i nikt w ich ślady wstępować nie ośmielał się; na polu wyższéj kompozycyi muzycznéj, zapanowała cisza i próżnia nadzwyczajna. Pewna liczba szczerych zwolenników muzyki instrumentalnéj, przerażonych takim stanem rzeczy, postanowiła materyalną zachętą rozniecić pomiędzy kompozytorami płomień twórczego natchnienia; w tym celu poczęto się naradzać nad wyszukaniem sposobów ku temu najskuteczniejszych. Zdawało im się, że jeżeli w pewnych oznaczonych terminach ogłoszą symfoniczne konkursa, które zapewnią zwycięzcom oprócz natychmiastowego rozgłosu, jeszcze i wynadgrodzenie pieniężne, to przerażające pustki w dziedzinie wyższéj muzyki instrumentalnéj panujące, zapełnią się pięknémi symfoniami, a światu przybędzie mnóstwo nowych kompozytorów, którzy choć w części zastąpią tych, co niedawno zeszli do grobu. W kilka lat późniéj, odbył sie w Wiedniu taki symfoniczny konkurs; lecz doświadczenie przekonało, iż w tego rodzaju

przedsięwzięciach, żadne materyalne nadgrody nie stworzą geniuszu, gdy ten sam przez się nie istnieje, nie wzbogacą sztuki utworem wyższym, utworem godnym wzbudzić uwielbienie współczesnych, gdy nie ma z czego powstać, gdy źródła z których on zwykł tryskać, płytkie, wątłém, pozorném zaledwie życiem tętniące. Więc téż skończyło się na jednéj takiéj próbie i odtąd niesłychać już o podobnych w muzykalnym świecie przedsięwzięciach.

Lepiéj nieco pod tym względem stał jeszcze teatr niemiecki, ale i tu nawet dzieła Mozarta, Karola Maryi Webera, ustępowały miejsca operom włoskim Rossyniego i francuzkim Aubera, które w chwili gdy Szopen udawał się na dłuższy pobyt za granicę, poczęły doznawać w Niemczech ogromnego powodzenia.

We Włoszech jednakże, chociaż muzyka symfoniczna pozostała znacznie w tyle, lubo już ojczyzna Tartinich, Viottich, Clementich, przestała dostarczać reszcie Europy owych wielkich wirtuozów i przewodników pięknego a szlachetnego na skrzypcach i fortepianie stylu, istniał przecie jeszcze największy tego stulecia skrzypek Paganini, który sam jeden starczył za całą plejadę wirtuozów. Na téjże saméj włoskiéj ziemi, obok tego tytana instrumentalnéj muzyki, dojrzał także na wielkiego artystę ziomek nasz Karol Lipiński. Lecz co było głównym zawsze powodem wędrówek w tamte strony artystów całego świata, to niezrównana piękność dramatycznego włoskiego śpiewu, co od najdawniejszych czasów tam tylko tradycyjnie istniał. Podobnie świetny w historyi sztuki muzycznéj peryód, jaki jeszcze miał miejsce we Włoszech pomiędzy 1820 a 1835 rokiem, może się już nigdy nie powtórzy. Tradycya bowiem wielkiego stylu, lubo gdzieniegdzie jeszcze pielęgnowana, pod wpływem społecznych i politycznych przemian niknie z dniem każdym; konserwatorya muzyczne mało znaków życia dają, dobrzy nauczyciele śpiewu coraz rzadszém są zjawiskiem; śpiew dąży do przesady, do gwałtownego wysilenia i kończy się przedwczesną zazwyczaj ruiną głosów. Upadek i skażenie dobrego w rzeczach sztuki muzycznéj smaku we Włoszech widoczne, i trudno przewidzieć, gdzie się ono zatrzyma. Jak dziś już reszta Europy wzięła stanowczą przewagę nad Włochami w mu-

zyce instrumentalnéj, tak godzi się wnosić, że i ze śpiewem to samo będzie z czasem (1).

W chwili gdy Szopen zamierzał udać się do Włoch, prześliczne głosy Pasty, Judyty Grisi, Rubiniego, Tamburiniego, Lablacha, Gallego i wielu innych, uczuciem niewysłowionych rozkoszy napełniały dusze italskiego półwyspu miłośników muzyki. Obok dramatycznych utworów Rossyniego, panujących dotąd wszechwładnie na znakomitszych scenach włoskich teatrów, poczęły się ukazywać nowe, układane przez młodych, utalentowanych kompozytorów jakimi byli Bellini i Donizetti; jedném słowem, sztuka była w pełnym rozwoju i postępie, a kto chciał posłyszéć śpiew wielki, piękny i skończony, tylko w ojczyznie Cimarosy mógł go posłyszéć. Więc w ślad za innymi i nasz Fryderyk do téj kolebki sztuk pięknych pragnął podążyć.

Któż dzisiaj może przesądzać, jak wielkie ziemia włoska wraz z jéj muzyką i jéj mistrzami, na czułéj i wrażliwéj duszy Szopena uczyniłaby wrażenie? Już sam rozkoszny ów klimat, tak sprzyjający wątłéj i słabowitéj organizacyi naszego młodego ziomka, byłby go zapewne zniewolił do dłuższego tamże pobytu, nie licząc w to innych dla artystycznéj jego duszy powabów, jakich nigdzie w równym stopniu doznaćby nie mógł. Jako wirtuoz, Szopen nie miałby wprawdzie godnych siebie zapaśników, lecz znalazłby tam wielkich mistrzów melodyi, a chęć naśladowania ich, wyrównania, albolitéż współzawodniczenia z nimi, bardzo łatwo mogła się w nim rozbudzić. Szopen jako ukształcony dostatecznie muzyk, potrzebował tylko oswoić się z mechanizmem głosu ludzkiego, z warunkiem kompozycyi scenicznéj, nabrać wprawy i doświadczenia we władaniu całym tym materyałem, jakiego nowożytna sztuka muzyczno-dramatyczna, na teatralne posługi swoje używa. We Włoszech nastręczała mu się właśnie wyborna sposobność, bo takich jak tam kompozytorów, śpiewaków i takiéj publiczności, któraby z równą namiętnością kochała muzykę i uwielbiała artystów swoich, nigdzie na świecie nie było. Kto wié, czy łatwe tryumfy jakichby niechybnie doświadczył Fryderyk we wszystkich miastach półwyspu jako fortepianista tylko, nie byłyby mu spowszedniały; czyliby nie zapragnął wyższą jaką i efektowniejszą kompozycyą przemowić do tego żywego i pełnego muzykalnych uczuć ogółu i zyskać tym sposobem jego poklask i uznanie? Scena była ku temu najstosowniejszém polem, a raz tylko sprobowawszy na niéj sił swoich twórczych, niepodobna przewidziéć gdzieby geniusz takiego jak Szopen artysty mógłby się oprzeć i zatrzymać. Niegdyś 14-toletni Mozart, także jako wirtuoz na fortepianie, udał się do Włoch, by tam dać się poznać i nawzajem, by posłyszéć co było godnego słyszenia; i otóż nie poprzestając na łatwém powodzeniu, jakie mu cudowna jego nad wiek gra czyniła, zapragnął napisać operę i szukać tryumfu dla siebie na scenie. Napisał więc w Medyolanie pierwsze swe teatralne dzieło pod tytułem: *Mitrydat król Pontu*, a zapał z jakim je przyjęto, zaszczepił w nim gorące pragnienie poświęcenia się głównie temu zawodowi. Dla artysty muzycznego, tryumfy sceniczne były najświetniejszemi ze wszystkich, jakich tylko można było doznać we Włoszech. Wieść o nowéj z powodzeniem wystawionéj operze, rozchodziła się natychmiast po całym kraju z tą samą namiętną, gorączkową gwałtownością, z jaką lud włoski przysłuchiwał się i podziwiał kompozytorów i śpiewaków swoich. Dosyć tam było napisać jedną operę, ażeby cały kraj napełnić rozgłosem swego imienia, ażeby od stu teatralnych przedsiebierstw, otrzymać tyleż osobnych zamówień. Mejerbeer, ów głośny późniéj twórca *Roberta Diabła*, w początkach swego zawodu, próbował znaleźć powodzenie na scenie niemieckiéj, wystawiając kilkakrotnie mniejszego rozmiaru operetki; ale ani publiczność, ani krytyka, nie mogły być z nich zadowolnionemi. Zrażony i zniechęcony do najwyższego stopnia, porzucił swą ojczyznę, przybył do Wiednia, niepewny co daléj z sobą czynić. Już nawet zamierzał porzucić zupełnie zawód kompozytorski, a poprzestać na kształceniu gry na fortepianie, na którymto instrumencie, jak wiadomo, biegle bardzo grywał,

(1) W londyńskim teatrze opery włoskiéj *Her Majesty's*, gdzie zwykle najznakomitsi tylko śpiewacy włoscy bywali angażowani, podczas ostatniego sezonu 1867—68 r. występowały trzy prima donny: Titjens angielka, Nillson szwedka, Kellog amerykanka. Mężkie zaś główniejsze role obsadzone były przez pp. Rokitańskiego czecha, Hohler'a i Santley'a anglików. Włosi więc byli w znacznéj mniejszości; w rocznikach opery włoskiéj w Londynie, rzecz dotąd bezprzykładna.

gdy Salieri sławny podówczas twórca wielu oper przedstawianych w Wiedniu z wielkiém powodzeniem, poradził mu ażeby się jeszcze udał do Włoch, a nie zarzucając wcale fortepianu, ażeby się przysłuchiwał operom i śpiewakom włoskim. Jakoż w lat kilka ośmielił się napisać operetkę, która dobrego tamże doznała przyjęcia; to zachęciło go do dalszéj na tém polu pracy, aż w końcu przyswoiwszy sobie zupełnie styl włoski i nabrawszy niepośledniéj wprawy do tworzenia dzieł tego rodzaju, napisał sławną operę *Krzyżacy w Egipcie*, która imie jego uczyniwszy głośném na całym półwyspie, otworzyła mu wrota królewskiéj akademii muzyki w Paryżu. Otóż to samo mogło się stać z Szopenem. Zapewne, są to dzisiaj tylko przypuszczenia, ale przypuszczenia oparte na jego muzykalnym geniuszu. Powie może nie jeden: „że gdyby Szopen miał do tego rodzaju kompozycyi zamiłowanie, to podczas swego długoletniego w Paryżu pobytu, mógłby przecie nieraz znaleźć sposobność do wystąpienia z jakiém dramatyczném dziełem na scenie, gdyż na dobrych wzorach ani też na śpiewakach nie zbywało tam zgoła; owszem najznakomitsi włoscy wirtuozi przybywali wciąż do stolicy Francyi, zdobywać sobie oklaski i uznanie publiczności." Ale inne tu były warunki artystycznego żywota, a inne we Włoszech. Wystawienie nowéj opery, nie wymagało ze strony włoskiego przedsiebiercy żadnych prawie kosztów: jedne i te same dekoracye lub kostiumy służyły na lat kilka; publiczność mało na takowe zwracała uwagi, muzyka bowiem dla niéj była wszystkiem, a wystawa niczém. Łatwiéj więc tam było młodemu i nieznanemu kompozytorowi dostać się na scenę. Dzisiaj nawet jeszcze pod tym względem rzeczy nie wiele się zmieniły. W Paryżu zaś przeciwnie. Chcąc wystawić nową operę, potrzeba ażeby kompozytor miał już rozgłośne imie, potężne wysokich osób poparcie, gdyż wystawienie jéj pociąga za sobą wydatki niesłychane. Najlepsza muzykalnie opera, jeżeli nie jest przeplataną świetnemi tańcami, wspaniałą i okazałą sceniczną wystawą, mało na publiczności robi wrażenia, dyrekcyę widowisk naraża na niechybne straty, dzieło zaś samo na pewny prawie upadek. Szopen przybywszy do Paryża, musiał przedewszystkiem starać się o zapewnienie sobie funduszów na dalsze swoje utrzymanie i kształcenie się; nie śmiał

on od niezamożnych rodziców wymagać większych pieniężnych ofiar nad te, które mu uczynili, wysyłając go za granicę, a w ogromnym tłumie mniéj więcéj utalentowanych i używających wziętości fortepianistów, nie było rzeczą tak łatwą jak się zdaje. Zresztą codzienne i niebezpieczne współzawodnictwo z artystami, przybywającymi w jednym i tym samym celu z rozmaitych stron Europy do Paryża, zmuszało Fryderyka do ciągłéj nad sobą baczności, do nieustannéj artystycznéj produkcyi, do walki niedającéj chwili spoczynku i wytchnienia. A gdy do tego dołączymy konieczny obowiązek udzielania się towarzystwu, i tym sposobem marnowanie dla powodzeń salonowych drogiego czasu; więc wyczerpywanie ciągłe sił fizycznych, których nie każdy ma tyle, ażeby tego rodzajowi życia podołać, (a na których właśnie naszemu Szopenowi zbywało): wtedy łatwo pojmiemy, że do mozolnéj a zwykle niewdzięcznéj pracy jaką jest zawsze komponowanie oper, nie miał dostatecznéj ochoty. Nakoniec, to życie solonowe które niestety! jak to późniéj w listach Fryderyka z Paryża pisywanych można było czytać, wyniszczając w nim siły fizyczne, nadwerężane już codzienną pracą nad lekcyami, stanowiącemi jedyny środek jego tamże utrzymania, wysysało z niego ów kwiat muzykalno poetycznych natchnień, ciągłemi i bezowocnemi prawie improwizacyami na fortepianie, do których Szopen miał dar nadzwyczajny. Wprawdzie zwiększało to jego sławę i wziętość jako wirtuoza, lecz wyczerpywało siły twórcze i nie dozwalało mu pomyśléć już nawet o jakiéj większéj kompozytorskiéj pracy. Wielka więc szkoda, iż Fryderyk nie udał się wprzód do Włoch jak zrazu postanowił; lecz okoliczności niezależne od jego woli, inaczéj zrządziły. Polityczne zaburzenia wstrząsające całym półwyspem, nareszcie i co najgłówniejsza, wypadki wynikłe w rodzinnym kraju wkrótce zaraz po jego wyjeździe, zmieniły do szczętu program postanowionéj w domu podróży.

W chwili gdy Szopen opuszczał Warszawę, wesołość i nadzieja świetnéj artystycznéj przyszłości, opromieniały jego oblicze; biegł on w krainę swych marzeń i ideałów. Szczęście, sława, uśmiechały się do niego, przyzywały go; on téż biegł za niemi z tą pogodą umysłu, jaka jest tylko czystych i szlachetnych dusz udziałem. Jedna tylko okoliczność

duszę jego żalem przejmowała: oto Fryderyk opuszczając Warszawę, zapruszył sobie serduszko kochaniem, które jakkolwiek żadnego nie wywarło wpływu na dalszy bieg jego życia, niemniéj przecie z powodu rozstania się z lubym przedmiotem gorących uczuć swoich, pewien rodzaj tęsknoty, niby porannéj mgły wiosennéj, opanował duszę jego. Ślady téj miłości dwudziesto-letniego młodziana do panny Konstancyi Gładkowskiéj, młodéj, pełnéj talentu śpiewaczki a uczennicy b. Konserwatoryum Warszawskiego, znajdujemy w korrespondencyi do najserdeczniejszego przyjaciela swojego Jana Matuszyńskiego, którego zwykle Jasiem nazywa. Są tam ognistych afektów strzały, wulkanicznych ogni wybuchy, platoniczne westchnienia młodziana raz promieniem nadziei świecące, to znów obłokiem zwątpienia i tęsknoty przyćmione. Biédny Fryderyk tak serdecznie wzdychał do Konstancyi, jak niegdyś Petrarka, do swojéj Laury. Ukrywając się przed rodzicami, nie śmiał w listach do nich pisanych wspominać o tém, ale przed przyjacielem, z całą szczerością maluje niepokój duszy swojéj, błagając go, ażeby choć kilką słowy doniósł mu, co porabia *„jego anioł pokoju."*

Ponieważ w ciągu niniejszéj pracy, nieraz jeszcze wypadnie mi uczynić wzmiankę o Matuszyńskim, przeto czytelnicy pozwolą mi poświęcić kilka słów pamięci tego wiernego aż do grobu przyjaciela Fryderyka.

Jan Matuszyński urodził się 9 grudnia 1809 r. w Warszawie. Skończywszy nauki w byłem Liceum, wszedł następnie do Uniwersytetu Warszawskiego na wydział lekarski. Po trzechletnich kursach, w roku 1830 otrzymał posadę lekarza pułkowego w 5tym pułku strzelców konnych. W cztery lata późniéj, doktoryzował się w Tübindze w Wirtembergskiem; otrzymawszy stopień *cum laude peracta examina* i patent Doktora Medycyny i Chirurgii, udał się do Paryża, napisawszy wprzód rozprawę o *Kołtunie Nadwiślańskim*. W Paryżu połączył się zaraz z Szopenem, ktorego już od pięciu lat nie widział. Przyjaźń tych dwóch młodzieńców datowała się jeszcze od ławek szkolnych w Liceum. Matuszyński większą część wolnego od nauk czasu, przepędzał zwykle w domu rodziców Fryderyka, zabawiając się z nim wspólnie muzyką: grał bowiem na flecie i to nawet tak biegle, iż w dziesiątym roku życia, wystąpił

w publicznym koncercie danym na cel dobroczynny, o czem ówczesne gazety pochlebnie o młodziutkim fleciście wspominały. Późniéj, z powodu cierpień piersiowych, Matuszyński musiał stopniowo wyrzec się grywania na tym ulubionym przez siebie instrumencie. Jako wyborny medyk, posiadający ogromny zapas gruntownéj nauki, zwrócił niebawem po przybyciu do Paryża, na siebie oczy wielu tamtejszych uczonych znakomitości, skutkiem tego ofiarowano mu wkrótce posadę professora w *l'Ecole de Medicine*. Dumny z takiego zaszczytu, poświęcił się z zapałem wykładowi medycyny, nieszczędząc sił i zdrowia; to téż wpadł w nieuleczone suchoty i zmarł z powszechnym przyjacioł i uczniów żalem 20 kwietnia 1842 roku. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu Montmartre.

II.

Jak to w pierwszéj części niniejszéj pracy widzieliśmy, opuścił Szopen Warszawę dnia 2 listopada 1830 r. Zabawiwszy w Kaliszu dni parę, pomimo nalegań wielu życzliwych sobie osób, a mianowicie doktora Helbicha u którego stanął gościną, nie chciał tam występować z koncertem; raz dlatego, że wstępne przygotowania zabrałyby mu wiele czasu, a potém licha i szczupła miejscowa orkiestra, zrażała go do reszty od tego przedsięwzięcia. Dzisiaj wirtuoz na fortepianie nie dba o nią wcale, sam sobą najdłuższy nawet koncertowy program nie waha się wypełnić. Wtedy było inaczéj; czy szacunek dla sztuki, czy dla publiczności, dosyć że takiemu wirtuozowi jakim był Szopen, zdawało się rzeczą niewłaściwą nawet w Kaliszu, występować przed słuchaczami bez orkiestry. Wolał raczéj pozbyć się niezawodnych materyalnych korzyści, tém więcéj, że przyjaciel jego i towarzysz dalszéj za granicę podróży Tytus Wojciechowski nadjechał, więc nietracąc czasu zgodził zaraz furmana za dwanaście talarów, i dnia 5 listopada 1830 r., puścił się w drogę do Wrocławia.

Niechże teraz Szopen sam, w listach swoich, opowie czytelnikom dalszy ciąg przygód z téj epoki życia doznanych.

(Wrocław, wtorek 9 listopada 1830 r.).

„Jak najwygodniéj i przy najśliczniejszéj pogodzie, zajechaliśmy w sobotę o godzinie 6téj z wieczora. Stanęliśmy *zum Goldene Gans*. Poszliśmy zaraz na teatr, gdzie dawano *Króla Alpejskiego*, który u nas ma być dopiero wystawionym. Dziwił się parter nowym dekoracyom, ale my nie mieliśmy ich za co podziwiać. Artyści grali nieźle. Onegdaj dawano tu operę *Mularz i Ślusarz* (Aubera) źle. Dziś *Przerwana Ofiara* Wintera: ciekawy jestem jak się powiedzie. Nie tęgich mają śpiewaków; teatr zresztą bardzo tani, miejsce na parterze kosztuje dwa złote. Tym razem Wrocław lepiéj mi się podobał. List do Sowińskiego oddałem (1); zaledwie raz widzieć się z nim mogłem: był on u nas wczoraj lecz nie zastał. Znajdowaliśmy się właśnie w tutejszéj Resursie, gdzie Schnabel kapelmeister, prosił ażebym był obecnym próbie z mającego się dać wieczorem koncertu. Takich koncertów dają tu trzy na tydzień. Zastałem tam nielicznie jak zwykle zebraną na próbę orkiestrę, fortepian i jakiegoś Referendariusa amatora, nazwiskiem Helwig, gotującego się do odegrania pierwszego koncertu Moschelesa *Es dur*. Nim on zasiadł do instrumentu, Schnabel, co mię od czterech lat nie słyszał, prosił ażebym sprobował fortepian. Trudno było odmówić, siadłem i zagrałem parę waryacyj. Schnabel się niezmiernie ucieszył, pan Helwig stchórzył, inni zaczęli mię prosić ażebym wieczorem dał się słyszeć. Szczególniéj Schnabel tak szczerze nalegał, że nie śmiałem staremu odmówić. Jest to wielki przyjaciel pana Elsnera; alem mu powiedział, że uczynię to tylko dla niego, bo anim grał przez parę tygodni, ani się myślę w Wrocławiu popisywać. Stary mi na to: że wie o tém wszystkiem i że chciał mię już wczoraj widząc w kościele o to prosić, ale nie śmiał. Pojechałem tedy z jego synem po nuty i zagrałem im *Romans i Rondo* z 2go *koncertu*. Na próbie dziwili się Niemcy mojéj grze: „*was für ein leichtes Szpiel*" a o kompozycyi nic. Nawet Tytus słyszał, jak jeden mówił, „że grać mogę, ale nie komponować." *Nota bene*, onegdaj á table d'hote, siedział naprzeciwko nas jakiś jegomość miłéj bar-

(1) Sowiński Wojciech, fortepianista, kompozytor i literat, żyjący obecnie w Paryżu.

dzo powierzchowności. Wdawszy się z nim w rozmowę, poznałem że jest znajomym Scholtza z Warszawy i przyjacielem tych panów do których mam od tegoż listy. Był to kupiec imieniem Scharff, nadzwyczaj grzeczny; oprowadzał nas po całym Wrocławiu; zgodziwszy sam fiakra, woził po piękniejszych spacerach; nazajutrz zapisał nas do Bursy i nakoniec wystarał nam się *fremden-karte* na wczorajszy koncert i przed próbą nam ją przysłał. Jakie musiało być jego i tych panów co mi bilet się wystarali zdziwienie, gdy ten *fremder* stanowił główną figurę muzykalnego wieczoru. Prócz tego *Ronda*, improwizowałem jeszcze dla znawców na temat *z Niéméj z Portici*. Poczem na zakończenie odegrano uwerturę, a po niéj nastąpiły niezgrabne skoki niemieckie. Schnabel chciał mię traktować, alem nic prócz bulionu nie przyjął. Poznałem się naturalnie z tutejszym ober-organistą panem Köhler; dziś obiecał mi pokazać organy; poznałem także jakiegoś barona czy kiego djabła nazwiskiem Nesse czy Neisse, ucznia Spohra, sławnie jak powiadają na skrzypcach grającego. Drugi miejscowy znawca i muzyk, co po całych Niemczech podróżował nazwiskiem Hesse, także mi komplementa gadał, ale prócz Schnabla na którym widać było prawdziwą radość, któren mię co chwila brał pod brodę i głaskał, żaden z Niemców nie wiedział co robić. Tytus miał uciechę patrząc na nich. Ponieważ ja jeszcze nie mam ustalonéj reputacyi, więc dziwiono się i bano się dziwić; nie wiedzieli czy kompozycya dobra, czy téż im się tak tylko zdaje. Jeden z tutejszych znawców przybliżył się do mnie i chwalił nowość formy, mówiąc, że mu się nic jeszcze w téj formie nie zdarzyło słyszeć. Nie wiem ktoto był, ale ten mię może najlepiéj zrozumiał. Schnabel pełen największych grzeczności, ofiarował mi nawet powóz, aleśmy się po 9téj jak zaczęli tańczyć, wynieśli do domu. Kontent jestem żem staremu zrobił przyjemność. Jakaś dama, któréj mię jako pierwszéj tutaj fortepianistce prezentował dyrektor po koncercie, bardzo mi dziękowała za przyjemną niespodziankę i żałowała że się publicznie nie dam słyszeć. Referendarius pocieszając się, śpiewał aryę Figara z *Cyrulika*, ale... nędznie. O Elsnerze dużo wczoraj mówiono i chwalono jakieś jego *waryacye* na orkiestrę z *Echem*; powiedziałem, że gdyby jego koronacyjną *mszę* usłyszeli, dopieroby mogli po-

wiedzieć co to za kompozytor. Straszne tu Niemcy, przynajmniéj wczorajsze towarzystwo; nasz pan Scharff jest wyjątkiem...

Jutro o 2giéj, jedziemy do Drezna.

(Drezno, 14 listopada).

Ledwom znalazł momencik, ażeby wam słów kilka donieść o sobie. Wracam z obiadu polskiego, to jest: na którym sami młodzi Polacy się znajdowali. Jeszczem ich zostawił, a sam wróciłem pisać, gdyż poczta o 7-méj odchodzi, a ja pragnąłbym dzisiaj jeszcze słyszéć powtórnie *Niemę z Portici*. Z Wrocławia nie chciało nam się bardzo wyjeżdżać; bliższa znajomość z tymi do których mi Scholtze dał listy, wiele nam to miasto uprzyjemniła. Tutaj zaś pierwsza moja wizyta była do panny Pechwell (1). Grała ona w piątek w tutejszéj resursie i wyrobiła mi tam wejście. Tego samego wieczora dawano w teatrze *Niemę;* trudny był wybór, ale ponieważ pannie należało koniecznie nadskoczyć, a zatem udałem się na wieczór. Druga ważna przyczyna która mię tamże powiodła, była wiadomość, że na nim da się słyszéć najlepsza tutejsza śpiewaczka, włoszka rodem, nazwiskiem Palazesi. Ubrawszy się więc jak najładniéj, posłałem po lektykę; wsiadłem w to dziwne pudło i kazałem się zanieść do domu Kreysiga, miejsca, gdzie ten muzykalny wieczór miał się odbyć. Przez drogę śmiałem się z siebie, gdy mię nieśli owi liberyjni lektykarze; miałem wielką ochotę wybić dno, ale dałem pokój. Dorożka ta, aż na schody mię poniosła; wysiadłszy, kazałem się pannie Pechwell zameldować; wyszedł więc gospodarz z ukłonami, wielkiemi grzecznościami i mnóstwem komplimentów wprowadził mię do sali, w któréj po obu stronach ośmiu ogromnych stołów, mnóstwo siedzących dam spostrzegłem. Nietyle brylanty jakie je zdobiły, ile druty w oczach mi się migały. Bez żartów, liczba dam i drutów była tak wielką, że można się było obawiać jakiego przeciwko mężczyznom powstania, które chyba okularami i łysinami przyszłoby zwalczyć; szkieł bowiem mnóstwo, a coraz to goła skóra.

(1) Obacz zeszyt Bibl. Warsz. za miesiąc październik 1862, w artykule pod tytułem: „Młodość Fryderyka Chopina."

Szczęk tych drutów, jako téż i filiżanek od herbaty, przerwała raptem z drugiego końca salonu dochodząca muzyka. Grano najprzód uwerturę z *Fra-diavola*, poczem włoszka owa śpiewała... nieźle. Wdałem się z nią w rozmowę; poznałem także jéj akompaniatora p. Bastrelli, drugiego dyrektora tutejszéj opery i p. Rubiniego, brata tego sławnego śpiewaka, z którym mam nadzieję zjechać się w Medyolanie. Grzeczny Włoch, obiecał mi list do brata: więcéj nie trzeba. Tak dalece był uprzejmym, iż wczoraj zaprowadził mię na próbę nieszporów kompozycyi Morlachego, tutejszego dworskiego kapelmistrza. Przypomniałem mu się przy téj sposobności; posadził mię natychmiast obok siebie i dużo ze mną rozmawiał. Nieszpory te śpiewane dzisiaj były przez sławnych neapolitańskich sopranistów, nazwiskiem: Sasarolli i Tarquinio; na skrzypcach zaś *obligato* grał Rolla, głośny tutejszy pierwszy skrzypek, do którego miałem kartkę od Soliwy (1). Poznałem go, obiecał mi list do swego ojca, dyrektora medyolańskiéj opery. Ale wróćmy do wieczoru. Panna Pechwell grała na fortepianie, a ja pogadawszy z tym i owym, udałem się na *Niemę*. Nie mogę o niéj sądzić, bom jéj całéj nie słyszał. Dziś dopiero wieczorem będę mógł o niéj coś stanowczego powiedzieć. Idąc rano do Klengla, spotkałem go przed domem; poznał mię od razu i tyle był uprzejmym, że aż mię ujął za serce. Szanuję go bardzo. Prosił (zapytawszy się wprzód jednakże o moje mieszkanie), żebym go jutro rano odwiedził. Zachęcał do publicznego wystąpienia, ale ja na to głuchy. Nie mam czasu do stracenia, a Drezno nie da mi ani sławy, ani pieniędzy.

Generał Kniażewicz, któregom widział u pani Pruszakowéj, mówił także o koncercie, lecz zapowiadał że niewiele przyniesie.

Wczoraj byłem na włoskiéj operze, ale źle wykonanéj; gdyby nie *solo* Rolli i nie śpiew panny Haenel z wiedeńskiego teatru, która wczoraj jako *Tancredi* debiutowała, to nie byłoby co słyszéć. Król otoczony całym dworem,

(1) Soliwa Karol urodzony w Piemoncie 1792 r. wezwany został w 1821 na nauczyciela śpiewu do Konserwatoryum Warszawskiego, gdzie aż do 1832 r. pozostawał. Umarł w Paryżu 1851 r.

TOWARZYSTWO IM. F. CHOPINA BIBLIOTEKA WARSZAWA

znajdował się w teatrze, również jako i dzisiaj na wielkiéj mszy w kaplicy. Grano mszę barona Miltitza, jednego z tutejszych panów, pod dyrekcyą Morlachego. Głosy Sasarollego, Muschettego, Babnika i Zezego, najlepiéj mi się podobały. Sama zaś kompozycya — nietęga. Dotzauer i Kummer, sławni tutejsi wiolonczelliści, mieli kilka sol, zresztą nic szczególnego. Oprócz mojego Klengla, przed którym jutro zapewne będę się musiał popisywać, nie ma tu nic godniejszego uwagi. Lubię z nim rozmawiać, bo od niego można się coś nauczyć.

Prócz galeryi obrazów, nic powtórnie w Dreźnie nie widziałem; *Grüne gewelbe* dosyć raz widziéć...

(Praga, 21 listopada 1830 r.).

W Dreźnie tak mi tydzień zeszedł, żem się nie spostrzegł. Jak rano z domu wyszedłem, tak nie wracałem jak w wieczór. Klengel, gdym się z nim bliżéj poznał, to jest: gdym mu zagrał moje koncerta, powiedział żem mu przypomniał grę Fielda, że mam rzadki sposób uderzenia, że wprawdzie wiele słyszał o mnie, ale nie spodziewał się nigdy ażebym był już takim wirtuozem. Nie były to czcze komplementa, bo mi się przyznał iż nie lubi nikomu pochlebiać, ani też przymuszać się do pochwał. Więc natychmiast skorom od niego wyszedł (a siedziałem u Klengla całe rano do 12-téj), poszedł do Morlachiego i do Littichau dyrektora teatru dowiedziéć się, czyby niemożna żebym się dał słyszéć, w przeciągu czterech dni które jeszcze miałem zabawić w tém mieście. Mówił mi potém, że to uczynił dla Drezna a nie dla mnie, i że radby mię zmusić do koncertu, jeżeli zbyt długiego czasu ułożenie nie będzie wymagać. Nazajutrz rano, przyszedł do mnie i oświadczył, że sam był wszędzie i że aż do niedzieli (a to było w środę), niema ani jednego wolnego wieczoru; w piątek bowiem miano dać po raz pierwszy tutaj *Fra-diavola*, a w sobotę to jest wczoraj *La donne dell Lago* Rossiniego, po włosku. Przyjąłem Klengla tak, jak mało ludzi w mojém życiu bym przyjął; wyraźnie polubiłem go jakbym znał od lat trzydziestu; on też okazuje mi wiele współczucia. Prosił o partycyę moich koncertów i zaprowadził mię do p. Niesiołowskiéj na wieczór. Tego samego dnia było przyjęcie u p.

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA NARODOWA

Szczerbinin, alem się tak długo u Niesiołowskiéj zabawił, że całe zaproszone towarzystwo już się rozjechało, gdy mię Klengel do pani Szczerbinin odprowadził. Za to, musiałem tam być nazajutrz na obiedzie. Łapano mię wszędzie jak psa. Byłem także tego samego dnia u pani Dobrzyckiéj, która z powodu swoich imienin, prosiła mię do siebie nazajutrz. Zastałem tam księżniczki saskie, córki nieboszczyka króla, to jest, siostrę królewską i żonę brata obecnie panującego monarchy. Grałem w ich obecności; obiecały mi listy do Włoch, ale jeszcze wszystkich niemam, dopiero od jednéj przysłano mi do hotelu dwa na samém wyjezdném, resztę spodziewam się otrzymać w Wiedniu, za pośrednictwem p. Dobrzyckiéj, gdyż ona wié jak mię tam szukać. Listy te są adresowane do królowéj Obojga Sycylii w Neapolu i do jakiéjś ks. Ulassimo z domu ks. saskiéj w Rzymie. Mam także obiecane do panującego ks. Luki i do wicekrólowéj. Odesłaniem tych listów zatrudni się Kraszewski, do którego ztąd piszę dzisiaj umyślnie w tym interesie. W Dreźnie byłem jeszcze na obiedzie u Komarów. Jakaś pani Jaraczewska, chciała ażebym był u niéj, ale nie miałem czasu tak jak i teraz, a boję się ażeby poczta nie odeszła. Klengel dał mi list do Wiednia, gdzie później sam także przybędzie; u p. Niesiołowskiéj pił za moje powodzenie szampana, ona sama pieściła i nie wiedziała gdzie mię posadzić, a koniecznie Szopskim nazwać mię chciała. Rolla skrzypek przedni; resztę z Wiednia gdzie będziemy we wtorek o 9-téj rano.

Generałowi Kniażewiczowi podobałem się bardzo; mówił mi że jeszcze żaden fortepianista tak miłego na nim nie uczynił wrażenia.

(Wiedeń, 1 grudnia 1830 r.).

Maleńko się serduszko zaśmiało z listu, odebranego po raz pierwszy od czterech tygodni, czyli od czasu jakem się z wami pożegnał. Lepiéj się jadło obiad. *Dziki człowiek* (tak się bowiem nazywa doskonała oberża w któréj jadamy), wziął odemnie za apetyczne konsumowanie strudlów, całego reńskiego i krajcarów kilka. Uciecha była ogólna, bo i Tytus miał listy od swoich. Celińskiemu dziękuję za przyłączony bilecik; przeniósł on mię na wasze

łono. Wyobraziłem sobie, iż siedzę przy fortepianie; Celiński stoi naprzeciwko mnie i patrzy na pana Żywnego, co z Linowskim tabaczką się częstuje. Tylko Matuszyńskiego brakło do kompletu; ja myślę że on ma jeszcze febrę... Ale dosyć romansów; przyjdzie na mnie ta kanikuła, bo tu dużo ładnych Niemek, lecz kiedy przyjdzie, kiedy!.. Wystawcie sobie, Blachetka z rodzicami w Studgardzie; może na zimę niewrócę. Wiadomość tę odebrałem u Haslingera, który mię przyjął jak najgrzeczniéj, ale dlatego *Sonaty* ani *Waryacyi* drugich nie wydrukował. Dostanie on swój pieprzyk, tylko ja stancyę z Tytusem miéć będę. Najęliśmy na pryncypalnéj ulicy, na Kohl-markcie, trzy pokoje, wprawdzie na trzeciém piętrze, ale ślicznie, przepysznie, elegancko umeblowane, na miesiąc jeden za małe pieniądze. Na mnie wypada 25 reńskich. Jakiś generał-admirał Anglik teraz jeszcze w nich siedzi, lecz dziś albo jutro ztamtąd się wyniesie. Admirał! a ja będę *admiracya*, więc nie straci stancya (1), tém bardziéj, że gospodyni a raczéj pani tego mieszkania, jest jakaś baronowa, wdowa i ładna, dosyć młoda, która długo jak nam mówiła w Polsce siedziała, o mnie zaś słyszała już w Warszawie. Zna Skarzyńskich, bywała na wielkim świecie; pytała się Tytusa czy nie zna młodéj, ładnéj pani Rembielińskiéj i t. p. Otóż choćby nie więcéj, to taka zacna jejmość warta 25 reńskich, tém bardziéj, że Polaków lubi, Austryaków nie affektuje, jest Prusaczką i bardzo rozsądną kobietą. Skoro się tam przeniesiem, Graff, fabrykant fortepianów, przyśle nam instrument do domu. Würfel skoro mię obaczył, zaraz o daniu koncertu począł mówić. Sam jest bardzo słaby i nie wychodzi, tylko w mieszkaniu daje lekcye; miał krwią pluć, co go wielce osłabiło. Ale o koncercie wciąż bajdurzy i mówił mi, że tutejsze gazety dużo o moim koncercie *F moll* pisały, o czém ja nie wiem i nie byłem dosyć ciekawym dowiadywać się. Dam koncert ale kiedy, gdzie, jak, co, nic nie wiem. Opuchły nos mój, nie dozwolił mi dotychczas ani prezentować się w ambasadzie, ani być u pani Rzewuskiéj u któréj cały świat bywa, a mieszka obok Hussarzewskiego,

(1) Listu tego wszystkim nieczytać, żeby niemyślano żem spyszniał. (*Przyp. Szopena*).

u którego z moim nosem bez żeny, byłem już parę razy. On mi nie radzi tak jak Würfel darmo grać. Malfatti przyjął mię jak swego kuzyna, najserdeczniéj, najgrzeczniéj (1). Skoro tylko nazwisko moje przeczytał, uściskał mię i powiedział, że do niego pisał już o tém pan Władysław Ostrowski; że w czém tylko może mi być użytecznym, wszystko mi uczyni. Dodał jeszcze, iż mię pani Tatyszczewowéj zaanonsuje (2), że mi wszelkie potrzebne znajomości porobi, że nawet przy dworze, o czém jednak wątpi żeby się dało co zrobić, będzie się starał być mi użetecznym, bo teraz dwór po królu Neapolitańskim w żałobie. Obiecał także poznać mię z baronem Dunoi, naczelnikiem tutejszego muzycznego *Vereinu;* to podobno będzie najlepsza znajomość. Drugą również może użyteczną, zabrałem przez list Klanglowski znajomość, z panem Mittagiem. Ten człowiek tak widzi rzeczy jak mi potrzeba i zdaje się, że najwięcéj ze wszystkich panów muzykantów, będzie mi użytecznym. Czerny, u którego byłem już (uniżony jak zawsze i dla każdego), pytał mię czym *hat fleisig studirt?* Znów na 8 fortepianów a 16 ludzi przełożył jakąś uwerturę i kontent. Zresztą, nie widziałem jeszcze żadnego tutejszego fortepianisty. U pani Weyberheim, siostry Wolfowéj, byłem już dwa razy, jutro proszony tam jestem na wieczór: *un petit cercle des amateurs*, zkąd udam się z wizytą do Rozalii Rzewuskiéj, co między 9tą a 10tą przyjmuje i jest już o mojém przybyciu przez Hussarzewskiego zawiadomioną. Tam mam poznać ową sławną panią Cibbini, dla któréj to Moscheles 4 ręczną *sonatę* napisał. Byłem onegdaj w Comptoirze u Stametza; tak mię tam przyjęto z mojemi listami, jak każdego co po pieniądze przychodzi; dali mi kartkę zaręczenia od policyi dla odebrania karty pobytu, i koniec. Ale późniéj może będzie inaczéj. Byłem także onegdaj u pana Geymüllera, bo tam Tytus miał swoje 6 tysięcy. Pan Geymüller przeczytawszy moje imie i nazwisko, nieczytając reszty odezwał się: „że bardzo mie przyjemnie poznać takiego jak ja Künstlera, ale że nie życzy dać się słyszeć, bo tu jest tylu dobrych fortepianistów, iż trzeba mieć wielką reputacyę ażeby coś zyskać." Dodał

(1) Nadworny Cesarski doktor.
(2) Małżonka ambassadora Ces. Ros.

w końcu: „że on niemoże mi w niczem dopomódz, bo czasy są ciężkie i t. p.” To wszystko musiałem łykać z wytrzeszczonemi na niego oczyma, i jak on swoją tyradę skończył, dopierom mu powiedział, że istotnie nie wiem czy warto dać się słyszeć, ponieważ jeszcze u żadnego z tutejszych możnych panów nie byłem, ani u ambasadora do którego mam rekomendacyę z Warszawy od W. Księcia i t. p. Dopiéro on inne oczy zrobił, a ja pożegnawszy, przeprosiłem go za oderwanie od interesów. Poczekajcie h.....ż....! U Lachnera dyrektora orkiestry jeszcze nie byłem, albowiem niemam gdzie wizyt przyjmować. Ze *Stadt London* gdzie było nadzwyczaj *słono*, przenieśliśmy się do *Lama* na Leopoldstadt, i tutaj tymczasem koczujemy, zanim się Anglik z wąsami, wychudły, wynędzniały, zielono-fioletowo-żółtawy *majtek*, od baronessy wyniesie. W tém to mieszkaniu na *wielką skalę*, (wyrażenie Tytusa, któren ze mnie jakiegoś zarozumialca koniecznie tworzy), będzie się dopiéro grać i o koncercie myśleć, ale niedarmo. Zresztą zobaczymy. Ani u pani Raszek, ani u pani Elkan, ani u Rotszylda, ani u państwa Voigt, ani u wielu innych osób nie byłem. Dziś idę do ambasady; ma tam być baron Meindorf, do którego Hussarzewski kazał mi się pytać, a ten mi powié, kiedy najlepiéj Tatyszczewa zastać. Z pieniędzy odebranych onegdaj u bankiera, nic jeszcze nie ruszyłem. Spodziewam się że umiem je szanować. Z tém wszystkiem prosiłbym, ażebym na końcu tego miesiąca mógł mieć coś na drogę do Włoch, gdyby mi moje koncerta nic nieuczyniły. Teatr mię najwięcéj kosztuje, ale nieżal, bo panna Heinfetter i p. Wild, zawsze prawie śpiewają. Przez ten tydzień, już trzy zupełnie nowe opery słyszałem. Wczoraj dawano *Fra-diavola*, *Niema* lepsza; przedtém *Tytusa* Mozarta, dziś *Wilhelma Tella*. Nie zazdroszczę Orłowskiemu, że Lafonowi akompaniuje (1); może przyjdzie czas, że mi Lafont będzie akompaniował (2). To trochę zaśmiało? ale dalibóg może być. Nidecki jeszcze całą zimę myśli tu zabawić. Cały ten

(1) Orlowski Antoni, urodzony w Warszawie 1811 r., pełen zdolności muzyk, kollega Szopena, późniéj dyrektor opery w Rouen, zmarł tamże w 1861 roku.

(2) Lafont, znakomity skrzypek urodzony w Paryżu 1781, zmarł 1839 r.

tydzień zeszedł mi jużto na nosie, na teatrze i Graffie, u którego co dzień po obiedzie grywam, ażeby sztywne palce z drogi trochę rozruszać. Wczoraj prezentowałem Graffowi Nideckiego. Istotnie nie wiem jak mi ten tydzień zleciał; aniśmy się obejrzeli, a ja jeszcze żadnych stanowczych kroków do koncertu nie uczyniłem. *Questia*? który koncert grać, F. czy E.? Würfel utrzymuje że F piękniejszy od As *dur* Hummla, co teraz u Hasslingera wyszedł. Hasslinger mądry, on mnie grzecznie ale lekko chce zbywać, żebym mu darmo kompozycye dawał. Klengel się dziwił, że mi nic za *waryacye* nie zapłacił. Może myśli, że napozór ważąc sobie lekko moje rzeczy, ja to wezmę na seryo i dam mu je darmo? Ale się już darmo skończyło, teraz *becal* bestyo!...

Radzi mi Graff, ażebym w *Landstädtische Saal*, gdzie bywają *Spirituell* koncerta, to jest w najpiękniejszém i najlepszém miejscu dał się słyszeć. Lecz na to potrzeba mieć pozwolenie od Dietrichsteina, o co mi przez Malfattego nie będzie trudno.

Ludzie znajdują żem utył...

Dobrze mi się wszystko dzieje. Mam nadzieję w Bogu i w Malfattim, (paradnym Malfattim), że jeszcze lepiéj będzie.

III.

Tutaj wypada mi zwrócić uwagę czytelników na znaczną przerwę, jaka istnieje w korrespondencyi Fryderyka z rodzicami. Wypadki zaszłe podówczas w Warszawie, wywarły na nim wpływ wielki, zachwiały jego postanowieniami i zamiarami. Przyjaciel jego Tytus Wojciechowski opuścił zaraz Wiedeń i wrócił do kraju. Fryderyk chciał to samo uczynić, niemogąc znieść takowego i w podobnych okolicznościach rozłączenia. Tylko usilne nalegania najprzód rodziców, którzy pragnęli ażeby ich syn, raz już obranéj a do tego kosztownéj podróży muzykalnéj nie przerywał, a potém przyjaciół jego w Wiedniu, skłoniły go przecie do pozostania na miejscu. Jednakże przejęty tęsknotą za swoimi i pełen o ich los obawy, porwał pocztę i gonił Tytusa całą stacyę za Wiedniem, i gdyby go był doścignął, niema wątpliwości że zabrałby się wraz z nim do Warszawy. Wróciwszy po bezowocnéj gonitwie do Wiednia, posłuszny

woli ojca, począł myśléć o koncertach, ale mu jakoś nie szło. Ludzie byli dlań obojętnemi, usłużnych przyjaciół pomiędzy artystami zbrakło. Kiedy za pierwszéj swojéj bytności w Wiedniu, grając darmo i w przelocie, znalazł tylu chętnych sobie, teraz gdy zapragnął jakiegokolwiek za swój talent wynagrodzenia, ujrzał się niejako opuszczonym; artyści widocznie zobojętnieli dla niego: to chorowali, to się porozjeżdżali. Może nawet w istocie tak było, lecz niema wątpliwości że bojaźń, ażeby czasem tak miły, ukształcony i nadzwyczajnie utalentowany wirtuoz, nie zechciał czasem w skutek wielkich powodzeń zostać w Wiedniu i chleb im odbierać, przerzedziła szeregi dawniejszych jego wielbicieli, a powodzeniom artystycznym, jakie tu i owdzie w pewnych stolicy salonach się objawiały, umiano zręcznie położyć pewne granice. Wypadki polityczne, silnych owych protektorów do których Fryderyk miał wiele listów polecających, zraziły i odwróciły od niego; zresztą głowa jego więcéj polityką, jak muzyką zajętą była. Z tego to nawet powodu, tak znaczną przerwę mamy w listach, gdyż wiele z nich, rodzice nie uważali za stosowne przechowywać. W innych znów, nieco późniejszych, brak widoczny owego dobrego i wesołego humoru, który Fryderyka nigdy nie odstępował, a pewien rodzaj smutku, zniechęcenia i sarkazmu nawet z zawiedzionych na ludziach i rzeczach nadziei, przejmuje wyraźnie strapioną duszę naszego artysty.

Uwagi powyższe uważałem za stosowne w tém miejscu, ażeby lepiéj pojąć ducha następnych Szopena korrespondencyi.

(Wiedeń. Środa przed swiętami Bożego Narodzenia; nie mam kalendarza, więc nie wiem którego).

„Siedm tygodni wczoraj minęło, jakem was opuścił. Po co?... Już się stało! Właśnie wczoraj, o téj godzinie we wtorek jak mię do Woli odprowadzano, byłem u państwa Weiberscheim, na tańcującym wieczorze. Pełno tam było młodzieży, ładnéj, wcale *niestarożytnéj* (1). Chciano ażebym tańczył, wybierano mię gwałtem w kotylionie; obróciłem się kilka razy i poszedłem do siebie. Sama pani domu i jéj grzeczne córki, sprosiły na ten wieczór wiele muzykalnych osób, ale ja nie grałem, bom nie miał do tego usposobienia. Prezentowała mi pana Likt, którego Ludwika zna (1); dobry, grzeczny, poczciwy Niemiec; miał mię za coś wielkiego i dlatego nie chciałem go moją grą z terminu zbijać. Tam także poznałem synowca Lampiego, którego znów papa zna; śliczny i miły chłopiec, maluje sławnie. A propos malowania, wczoraj rano był u mnie Hummel z synem; kończy mój portret, ale tak podobny, że nie można lepiéj. Siedzę na stołku w szlafroku, z miną inspirowaną, nie wiem zkąd. Ołówkiem a raczéj kredką i w formacie ćwiartkowym, zdaje się że sztych. Grzeczny to nadzwyczajnie ten stary Hummel; ponieważ się zna dobrze z Duportem niegdyś sławnym tancerzem, a teraz antreprenerem kärthnerthorskiego teatru, więc mię wczoraj prezentował. Pan Duport ma być skąpym; przyjął mię bardzo pięknie, bo może myśli że ja mu darmo grać będę: ale się myli. Było pomiędzy nami lekkie *avant propos*, ażebym chciał grać, lecz kiedy, co i jak o tém cicho. Jeżeli mi mało będzie dawał, wtedy dam koncert w dużéj sali redutowéj. Würfel zdrowszy; w przeszłym tygodniu poznałem u niego Slawika, sławnego skrzypka, chociaż młodego chłopca, mającego najwięcéj 26 lat wieku (2). Bardzo mi się on podobał. Gdyśmy razem wracali, pyta mię: „czy ja idę do domu? Do domu—odpowiedziałem. Oto lepiéj pójdź ze mną do twojéj rodaczki pani Bayer" (do niéj właśnie przysłał mi list Kraszewski z Drezna, wraz z listem do wice-królowéj Medyolanu; nie mogłem tego listu dotychczas oddać, bo miejsca mieszkania nie wiedziałem, a Bayerów w Wiedniu tysiące). „Dobrze—odpowiedziałem Slawikowi—tylko się wrócę po

(1) To się ma znaczyć: nie *starozakonnéj*.

(1) Ludwika Szopen, późniéj Jędrzejewiczowa, siostra starsza Fryderyka, zmarła w Warszawie 29 października 1855 r.

(2) Slawik Józef, urodził się w Ginczy w Czechach 1806 roku, gdzie jego ojciec był nauczycielem szkoły publicznéj. Kosztem hrabiego Wrbna uczył się grać na skrzypcach w pragskiém konserwatoryum pod kierunkiem Pixisa. Wielkiego talentu i ogromnych nadziei ten wirtuoz, zmarł w Peszcie 1833 roku na nerwową gorączkę w chwili właśnie, gdy rozpoczął artystyczną podróż na większą skalę po Europie.

list." Istotnie była to ta sama pani. Mąż jéj jest Polakiem z pod Odessy, sąsiadem Chomentowskiego. Jego żona, która już niby wiele o mnie słyszała, prosiła nas nazajutrz to jest w niedzielę na obiad, gdzie Slawik jak zagrał, tak mi się podobał jak nikt po Paganinim. Jemu się także moja mość podobała i postanowiliśmy razem napisać duet na skrzypce i fortepian, myśl którą już miałem w Warszawie. Wielki i prawdziwie genialny to skrzypek. Skoro poznam Merka, to dopiero Tryo utniemy (1), a poznam go lada dzień u Mechettego. Czerny był wczoraj ze mną u Diabellego, który mię na przyszły poniedziałek, na wieczór z samych muzyków zebrany, zaprosił. W niedzielę, wieczór u Likta, gdzie będzie wielki świat muzykalny i ośmio-ręczna uwertura, a w sobotę ma być wykonana stara kościelna muzyka u Hofrata Kisewettera, autora dzieła o muzyce.

Trzeba wam wiedzieć, że ja teraz stoję na czwartém piętrze. Jacyś anglicy dowiedziawszy się od mojego antecessora o mojém śliczném mieszkaniu, zapragnęli jeden pokój odnająć; ale przyszedłszy pod pozorem widzenia jednego, zrewidowali wszystkie trzy i tak im się podobały, że ofiarowali mi zaraz 80 reńskich miesięcznie, bylebym takowe im odstąpił, z czegom się niezmiernie ucieszył. Pani baronowa Lachmanowicz bratowa Uszakowowéj, a teraz moja młoda i dobra gospodyni, posiadała także na czwartém piętrze podobne do mojego mieszkanie; pokazano mi takowe, nająłem i teraz stoję za 20 złr. miesięcznie tak, jakbym 80 płacił. Myślicie pewno, biedak pod strychem siedzi! Otóż wcale nie, bo nademną jest jeszcze piąte piętro i dopiero nad niém dach, a co sześćdziesiąt reńskich w kieszeni, to w kieszeni. Ludzie odwiedzają mię i pan hr. Hussarzewski musi leźć tak wysoko. Ale ulica nie opłacona, w środku miasta, blisko wszystkiego; na dole najpiękniejszy spacer, Artaria na lewo, Mechetti i Hasslinger na prawo, w tyle teatr, czegoż więcéj potrzeba? (2). Do pana Elsnera jeszcze nie piszę, ale u Czer-

(1) Merk Józef, znakomity wiolonczellista urodzony w Wiedniu r. 1795, zmarł tamże w 1852 roku.

(2) Mechetti, Diabelli, Artaria, Hasslinger } Wydawcy nut muzycznych w Wiedniu.

nego byłem; Kwartet dotąd nie wyszedł. Malfatti wyłajał mię, że obiecawszy przyjść do pani Schaschek na obiad o 2, przyszedłem dopiero o 4; w tę sobotę znów się mam z nim zejść na obiad, a jeżeli się spóźnię, to Malfatti obiecał mi jakąś bardzo bolesną operację zrobić; nie piszę jaką, bo brzydka. Widzę jak się papa gniewa za moje roztrzepanie i nieprzyzwoitość względem ludzi; ale to się wszystko naprawi, bo Malfatti mię lubi, z czego się bardzo cieszę. Nidecki bywa u mnie co rano i gra. Jak napiszę koncert na 2 fortepiany, to zagramy razem publicznie; wprzód jednak muszę *solo* wystąpić. Hasslinger ciągle grzecznie, lecz cicho (1). Nie wiem czy mam zaraz jechać do Włoch, czy co? Proszę was byście mi o tém napisali. Mama kontenta że mię niema, ale ja nie kontent jestem. Stało się... Uściskajcie odemnie Tytusa i proście go na miłość boską, ażeby pisał... Nie! téj przyjemności jaką ja mam gdy od was list odbiorę, nie możecie sobie wystawić. Czemuż to poczta idzie tak długo! Wszak nie bierzcie mi za złe, że się o was turbuję...

Poznałem tu bardzo grzecznego chłopca Leidenfrosta, przyjaciela Kesslera; bywa on często u mnie, chociaż ja raz dopiero byłem u niego. Jeżeli nie jestem gdzie proszonym na obiad, to z nim jadam na mieście. Zna on cały Wiedeń i jak tylko jest gdzie jaka osobliwość do widzenia, zaraz mię tam prowadzi. Wczoraj naprzykład, był śliczny spacer na *bastey*, arcyksiążęta w surdutach, noblessa, słowem cały Wiedeń; spotkałem tam także Slawika z którym ułożyłem się dzisiaj widzieć w celu wybrania Bethowenowskiego motywu na waryacye. Z jednéj strony kontent jestem iż się tu znajduję, ale z drugiéj!... Jak mi tu dobrze w pokoju. Naprzeciwko dach, a na dole pigmeje. Jestem wyższy od nich! Najlepiéj mi, kiedy nagrawszy się na cudnym fortepianie Graffa, idę spać z waszemi listami w ręku. To téż nawet we śnie was tylko widzę. Wczoraj u Bayerów tańczono mazura, Slawik jak baran leżał na ziemi, a jakaś stara niemiecka *Contessa*, z dużym nosem i dziurawą fizyognomią, trzymając się (jak to dawniéj bywało) zgrabnie dwoma

(1) Aluzya do kompozycyj Chopina, które Hasslinger pragnął wydać, lecz nie miał ochoty za takowe płacić.

paluszkami za sukienkę, z głową sztywnie do tancerza zwróconą tak że aż kości od szyi gdzie która mogła wylazły, dziwne jakieś walcowe *pas*, długiemi a chudemi *mamrotała* nogami. Godna to jednak osoba, poważna, uczona, dużo gada i ma *usage du monde*.

Pomiędzy licznemi wiedeńskiemi zabawami, sławne są wieczory po oberżach, gdzie przy kolacyi Strauss albo Lanner (są to tutejsi miejscowi Swieszewscy) walce grywają. Za każdym walcem dostają ogromne brawo; a jeżeli grają *Quodlibet*, czyli mięszaninę z oper, pieśni i tańców, to słuchacze są tak zadowoleni, że nie wiedzą co z sobą robić. Dowodzi to zepsutego smaku wiedeńskiéj publiczności.

Chciałem wam posłać walca mojéj kompozycyi, ale już późno; odbierzecie go zawsze. Mazurków nie posyłam także, bom ich jeszcze nie przepisał: nie do tańca.

Nie chce mi się z wami rozstawać, jeszczebym rad pisać. Fontanę jak zobaczycie, powiedzcie mu, że się do niego pisać zabieram. Matuszyński jeżeli nie dziś, to na przyszłą pocztę odbierze list ogromny.

(*Do Jana Matuszyńskiego*).

Wiedeń. Dzień Bożego Narodzenia. Niedziela rano. (Przeszłego roku o tym czasie byłem u Bernardynów. Dzisiaj w szlafroku sam jeden siedzę, pierścionek gryzę i piszę).

Najukochańszy Jasiu!

Właśnie wracam od Slawika, sławnego skrzypka, z którym się zaprzyjaźniłem. Po Paganinim nic podobnego nie słyszałem; 96 nut *staccato* bierze na jeden smyczek i t. p. Nie do uwierzenia! U niego powziąłem myśl, wróciwszy do domu tęsknić sobie po fortepianie i wypłakać *adagio* do waryacyi na temat Bethowena, które z nim razem piszemy. Ale krok jeden na pocztę, któréj nigdy przechodząc nie opuszczam, inny nadał kierunek uczuciu: łzy co na klawisze padać miały, twój list zrosiły. Spragniony byłem twego pisma, wiesz czemu? ale nietylko dla *mego anioła pokoju*. Bo jak go kocham, gdybym mógł, wszystkiebym tony poruszył, jakieby nietylko ślepe, wściekłe, rozjuszone nastało czucie, aby choć w części odgadnąć te pieśni, których rozbite echa gdzieś jeszcze po brzegach Dunaju błądzą, które wojsko Jana III śpiewało. Każesz mi wybierać poetę! wiesz żem istota najniezdecydowańsza w świecie, i raz tylko w życiu dobrze wybrać umiałem. Gdyby nie to, że ojcu teraz może ciężarem byłbym, natychmiastbym wrócił. Przeklinam chwilę wyjazdu! Przyznaj znając moje stosunki, że po odjeździe Tytusa, zawiele razem na głowę mi spadło.

Wszystkie obiady, wieczory, koncerta, tańce, których mam po uszy, nudzą mię. Tak mi tu smutno, głucho, ponuro! *lubię ja to*, ale nie w tak okrutny sposób. Nie mogę czynić jak mi się podoba; muszę się stroić, fryzować, chaussować! W salonie udaję spokojnego, a wróciwszy do domu piorunuję po fortepianie...

Z nikiem poufałości, ze wszystkiemi grzecznie obchodzić się muszę. Mam ludzi co mię niby lubią, co mię malują, mizdrzą się, przymilają; cóż mi po tém, kiedy pokoju nie mam? chyba jak sobie wszystkie wasze wydobędę listy, otworzę widok króla Zygmunta (1), na pierścionek spojrzę. Daruj Jasiu że ci się tak skarżę, ale zdaje mi się że mi lżéj o połowę, żem spokojniejszy; z tobą ja zawsze uczucia dzieliłem. Odebrałeś kartkę? Pewno sobie nic z mojego pisma nie robisz, boś w domu; ale ja czytam i czytam list twój bez końca. Freyer doktor był u mnie parę razy, (choć ja u niego ani razu być nie mogłem); dowiedział się od Szucha, że jestem w Wiedniu. Opowiadał mi mnóstwo interessujących szczegółów z ostatnich czasów, cieszył się z twego listu, który mu aż do *pewnego* peryodu do czytania dałem.

Ten *pewny* peryod zasmucił mnie mocno. Czy doprawdy choć trochę zmiany? czy nie chorowano? Przypuściłbym łatwo coś podobnego na takiém czułém stworzeniu. Czy ci się nie zdawało? może przestrach.... bo niechaj Bóg broni mojéj przyczyny! Uspokój, powiedz, że póki sił starczy... że do śmierci... że po śmierci jeszcze mój popiół bę-

(1) W pobliżu kolumny króla Zygmunta istniało Konserwatoryum Warszawskie, a w niem mieszkała panna Gładkowska jako pensyonarka.

dzie się słał pod nogi! Ale to wszystko mało cobyś ty mógł powiedzieć.... ja napiszę! Jużbym był dawno napisał, nie męczyłbym się tak długo; ale ludzie!... Gdyby to przypadkiem w cudze ręce wpadło, jéj sławie szkodzićby mogło! więc lepiéj ty bądź moim tłumaczem, mów za mnie *„et j'eu conviendrai."* Te twoje francuzkie wyrazy mię dobiły. Niemiec co szedł ze mną ulicą kiedym list twój odczytywał, ledwo mię pod rękę utrzymał i nie mógł wcale pomiarkować co mi się stało. Miałem ochotę wszystkich przechodzących łapać i całować, a tak mi miło było na duszy, jak jeszcze nigdy! bo to piérwszy list od ciebie! Nudzę cię Jasiu głupim szałem moim, ale mi się trudno ocknąć, żeby ci coś obojętnego napisać.

Onegdaj byłem na obiedzie u jednéj damy, Polki nazwiskiem Bayerowéj, imieniem *Constance*. Lubię tam bywać przez *reminiscencyą:* wszystkie nuty, chustki do nosa, serwety, znaczone jéj imieniem. Zresztą ze Slawikiem tam chodzimy, do którego ona coś cierpi. Wczoraj graliśmy całe przed i poobiedzie, a ponieważ to była wigilia i piękny (wyraźnie wiosenny) czas, więc gdyśmy w nocy wyszli od Bayerowéj, pożegnawszy Slawika który do kaplicy cesarskiéj iść musiał, sam jeden o 12téj wolnym krokiem udałem się do św. Szczepana...

Gdym przyszedł, jeszcze ludzi nie było. Nie dla nabożeństwa, ale dla przypatrzenia się o téj porze temu olbrzymiemu gmachowi; stanąłem w najciemniejszym kącie u stóp gotyckiego filaru. Nie da się opisać ta wspaniałość, ta wielkość tych ogromnych sklepień. Cicho było, czasem tylko kroki zakrystyana zapalającego kagańce w głębi świątyni, przerywały mój letarg. Za mną grób, podemną grób!... tylko nademną grobu brakowało! Ponura roiła mi się harmonia... czułem więcéj niżeli kiedy osierociałość moją. Chętnie poiłem się tym widokiem, aż dopóki ludzi i światła przybywać nie zaczęło. Wtenczas zasłoniwszy się kołnierzem od płaszcza (jak to nieraz pamiętasz przez Krakowskie Przedmieście), udałem się na muzykę do kaplicy cesarskiéj. Przez drogę już nie sam, ale z mnóstwem wesołych ludzi idących kompaniami, przebiegłem piękniejsze ulice Wiednia aż do zamku, gdzie posłuchawszy trzech numerów nie najtęższéj, zaspano granéj mszy, wróciłem po 1éj w nocy spać.

Śniło mi się o tobie, o was, o nich, o moich dzieciach kochanych (1). Nazajutrz obudzono mię z inwitacyą na obiad do pani Elkan, Polki, żony bankiera. Wstałem, zagrałem sobie smutno... przyszedł do mnie Nidecki, Leidenfrost, Szteinkeller; pożegnaliśmy się i udałem się na obiad do Malfatego. Szaniasio dzisiaj Polak zabity, zajadał zrazy i kapustę jak zaręczam żaden u Karczewskiéj; nie ustępowałem mu. Trzeba ci wiedzieć, że ten rzadki człowiek (w całém znaczeniu tego wyrazu *człowiek*) doktor Malfati tak o wszystkiem pamięta, że kiedyśmy u niego na obiedzie, wyszukuje nam polskie potrawy. Po obiedzie przyszedł Wild, sławny, nawet dziś najpierwszy niemiecki tenorzysta. Zaakompaniowałem mu na pamięć aryę z *Otella*, którą po mistrzowsku odśpiewał. On i Heinfetter, utrzymują całą operę tutejszą; reszta bowiem tak mizerna, że wcale na Wiedeń nie przystoi. Pannie Heinfetter zbywa nieledwie zupełnie na czuciu. Głos jakiego mi się nie zdarzy tak prędko słyszéć, wszystko dobrze odśpiewane, każda nuta wytrzymana akuratnie, czystość, gibkość, portamenta! ale to tak zimne, żem sobie ledwo nosa nie odmroził, jakem w krzesłach w piérwszym rzędzie blizko sceny siedział. Ładna ze sceny, szczególniéj po męzku. W *Otellu* lepsza niż w *Cyruliku*, gdzie zamiast niewinnéj, żywéj, zakochanéj dziewczyny, przedstawia na wszystkie strony wyćwiczoną kokietę; w *Tytusie* Mozarta jako Sextus, ładną. Wkrótce wystąpi w *Sroce*, ciekawość mię bierze! Wołków (2) *Cyrulika* lepiéj zrozumiała, tylkoby trzeba jéj gardła panny Heinfetter. Niezawodnie jest ona jedną z piérwszych śpiewaczek, ale nie piérwszą.

Miałem jechać, by Pastę słyszéć. Wszak wiesz, że mam listy od dworu saskiego do wice-królowéj Medyolanu. Ale jakże jechać? rodzice każą mi to robić co ja chcę, a ja tego nie lubię! Do Paryża? tutejsi radzą mi jeszcze czekać.

(1) Siostry swoje Ludwikę i Izabellę, Szopen często swemi dziećmi nazywał.

(2) Uczennica konserwatoryum warszawskiego i koleżanka Gładkowskiéj. Do r. 1837 była pierwszą śpiewaczką opery polskiéj; wyszedłszy za mąż opuściła z żalem wszystkich scenę i w lat kilka umarła.

Wrócić? siedzieć tutaj? zabić się? nie pisać do ciebie? Radź mi co mam zrobić. Spytaj się tych ludzi co mną rządzą i napisz mi ich zdanie, a tak będzie.

Przyszły miesiąc jeszcze tu zostanę, pisz więc nim wyjdziesz... *poste restante* do Wiednia, a nim wyjdziesz bądź u rodziców i u *Const...* Zastąp im mnie póki tam siedzisz, bywaj często, niech siostry cię widzą, niech myślą że ty do mnie przychodzisz, a ja w drugim pokoju; siedź obok, a niech myślą że ja za wami siedzę. Idź na teatr, a ja tam przyjdę...

O koncercie nie myślę.

Jest tu Alois Smidt fortepianista z Frankfurtu, znany z etiudów bardzo dobrych; człowiek przeszło 40 letni. Poznałem go, obiecał mię odwiedzić; myśli grać koncert, trzeba mu pierwszeństwo dać. Zdaje mi się człowiek do rzeczy, i mam nadzieję że się zrozumiemy muzycznie. Bo Thalberg tęgo gra, ale nie mój człowiek! Młodszy odemnie, damom się podoba; z *Muetty* potpourri robi, forte i piano pedałem nie ręką oddaje, decymy bierze jak ja oktawy; ma brylantowe guziki od koszulek. Moschelesowi się nie dziwuję, a zatém nie dziw, że tylko *tutti* od koncertu mojego mu się podobało. Pisze on *także koncerta.*

List ten kończę 3 dni późniéj. Odczytałem banialuki, którem ci pobzdurzył; daruj Jasiu jeżeli za nie płacić musisz. Dziś bowiem na obiedzie w traktyerni włoskiéj słyszałem: *Der liebe Gott hat einen Fehler gemacht, dass er die Pohlen geschaffen hat;* nie dziw się więc, że dobrze pisać tego co czuję, nie umiem. Nowin się téż nie spodziewaj od Polaka, bo drugi na to się odezwał: *Aus Pohlen ist nichts zu holen...*

Przyjechał tu Francuz kiełbaśnik: pełno ludzi przed jego sklepem eleganckim się zbiera już od miesiąca i zawsze coś nowego upatrzą. Jedni myślą że to są skutki rewolucyi francuzkiéj i miłosiernie patrzą się na kiszki wywieszone na obrazach, drudzy się gniewają, że Francuzowi rebellantowi wolno było założyć sklep z szynkami, kiedy oni sami dosyć świń w własnym kraju mają.

Gdzie się ruszysz o Francuzie mowa, i bać się należy, jeżeliby coś być miało, żeby się od Francuza nie zaczęło!

Kończę Jasiu, bo kończyć muszę. Uściskaj odemnie wszystkich drogich kolegów. Daj buzi! ja ciebie chyba ra-

zem z życiem, z rodzicami, chyba razem z *nią* kochać przestanę. Mój drogi pisz do mnie! Nawet pokaż *jéj* ten list jeżeli ci się zdaje. Dziś jeszcze idę na wieczór do Malfatego, a wprzód na pocztę. Rodzice może wiedzą że ja do ciebie piszę; powiedz im to, ale listu nie pokazuj. Jeszcze nie mogę się oderwać od lubego Jasia! Idź paskudniku! jeżeli cię tak W** szczerze kocha jak ja, to Konst.... Nie mogę nawet nazwiska napisać, ręka moja niegodna... Ach! włosy sobie wyrywam kiedy wspomnę, że mogą o mnie zapomnieć!.... Ze mnie dziś Otello!

Chciałem ten list złożyć i bez koperty zapieczętować, a zapomniałem, że u was po polsku czytać umieją. Tymczasem kiedy mi papieru zostało, pozwól niech ci moje tutejsze życie opiszę. Stoję na 4ém piętrze, wprawdzie na najpiękniejszéj ulicy, ale dobrze musiałbym przez okno wyjrzéć, gdybym chciał widzieć co się na dole dzieje. Pokój mój (zobaczysz go u mnie w nowym sztambuchu jak wrócę na łono wasze, młody Hummel mi go rysuje), jest duży, zgrabny, o 5ciu oknach. Łóżko stoi naprzeciw okien, pantalion (cudny) po prawéj, a kanapa po lewéj stronie. Między oknami zwierciadło, na środku piękny duży mahoniowy okrągły stół, posadzka polerowana. Cicho!... po obiedzie pan nie przyjmuje... a zatém mogę się zupełnie przenieść myślą do was. Rano budzi mię nieznośnie głupi służący: wstaję, przynoszą mi kawę, gram i często zimne piję śniadanie. Potém około 9téj przychodzi metr niemieckiego języka; późniéj najczęściéj gram, poczém jak dotąd rysował mię Hummel, a Nidecki mojego koncertu się uczył. To wszystko w szlafroku do 12téj. Teraz dopiéro przychodzi bardzo godny niemczyk Leidenfrost, pracujący w kryminale i jeżeli czas piękny, idziemy na *glacis* wkoło miasta na spacer; poczém ja udaję się na obiad jeżeli jestem gdzie zaproszony, a jeżeli nie, idziemy razem do miejsca, gdzie cała tutejsza młodzież akademicka jada, to jest *zur boemische Köchin.* Po obiedzie pije się w najpiękniejszym *Kaffenhausie* (taka tu moda) czarna kawa; poczém ja za wizytami, a o szaréj godzinie wracam do domu, fryzuję się, *chaussuję* i na wieczór. Około 10téj, 11téj, czasem 12téj (późniéj nigdy) wracam—gram, płaczę, czytam, patrzę, *śmieję się*, idę spać, gaszę świecę, i śnicie mi się zawsze.

List ten miał odejść we środę, ale zapóźno było; więc w sobotę odchodzi. Elsnera ucałuj.

Mój portret, o którym ty i ja tylko mamy wiedzieć, podobniuteńki; jeżelibyś myślał, że choć trochę przyjemności zrobi, przez Schucha ci go przyślę, który może z Frejerem około 15 przyszłego miesiąca, gdyby okoliczności kazały, wyjedzie.

Zacząłem pisać czysto, a skończyłem tak, że mnie może nie przeczytasz. Magnusia, Alfonsa, Reinszmidka ucałuj (1). Jeżeli będzie można, każ się któremu do twego listu przypisać (2).

Do Tegoż.

(W dzień Nowego Roku).

Najdroższa istoto! Masz coś chciał. Odebrałeś list? Oddałeś?... Żałuję dziś tego com zrobił. Rzuciłem promyk nadziei tam, gdzie tylko same ciemności i rozpacz widzę. Może ona zadrwi, może zażartuje!... Może!... Takie myśli przychodzą mi do głowy wtenczas, kiedy najweseléj w moim pokoju rozprawiają twoi dawni koledzy: Rostkowski, Schuch, Frejer, Kijewski, Hube i t. d. I ja się śmieję, śmieję się a w duszy, właśnie kiedy to piszę, jakieś mię okropne dręczy przeczucie. Zdaje mi się że to sen, że to odurzenie, że ja u was, a to mi się śni co słyszę. Te głosy do których dusza moja nie przyzwyczajona, żadnego innego wrażenia na mnie nie robią, tylko takie jak owo turkotanie powozów na ulicy, albo inny hałas obojętny. Twój głos albo Tytusa, ocuciłby mię z tego martwego stanu i otrętwiałości. Żyć, umrzéć, dziś mi wszystko jedno się zdaje! Listu od ciebie nie mam! Rodzicom powiedz żem wesoł, że mi niczego nie brak, że się bawię paradnie, że nigdy sam nie jestem. Jéj to samo powiedz, jeżeli będzie drwiła! Jeżeli zaś nie, to jéj

(1) Magnusia, Dominika Magnuszewskiego; Reinszmidka, Józefa Reinschmitta współkolegi Szopena.

(2) List ten i drugi jeszcze pisany do Elsnera, a który czytelnicy znajdą na swojém miejscu, drukowany już był w *Ruchu Muzycznym* za rok 1857. Jednakże, gdy uzupełnia nam niejako poznanie Szopena ze strony uczuciowéj, uważałem za konieczne tutaj go umieścić.

powiedz, żeby była spokojną, że się wszędzie nudzę. Słaby jestem, nie piszę tego rodzicom. Każdy mię się pyta co mi jest. Humoru nie mam; Hube mię pielęgnuje. Zresztą ty wiesz najlepiéj co mi jest! Biédni rodzice nasi! Moi przyjaciele co robią? Czemuż ja tak dzisiaj opuszczony, czy tylko wy macie być razem w tak okropnéj chwili! Flet twój będzie miał co jęczéć, ale niech się wprzód fortepian wyjęczy. Do Paryża może za miesiąc wyjadę, jeżeli tam będzie cicho. Kochaj mię zawsze tak jak dziś. Niezbywa tu na rozrywkach, ale chęci rozerwania się, jeszczem w Wiedniu nie doznał. Merk pierwszy tutejszy wiolonczellista, obiecał mi swoją wiolonczellową wizytę. Dziś Nowy Rok, jakże go smutno zaczynam! Może go nie dokończę! Uściskaj mię. Tak piszę jak pijany (1).

Wiedeń, 14 maja 1831 r.

Ten tydzień musiałem ścisłą, na listy dyjetkę zachować. Wytłumaczyłem sobie, że na przyszły dostanę i czekam spokojnie, bo spodziewam się żeście zdrowi, tak na wsi jako i w mieście. Co do mnie, zdrów jestem i czuję, że w nieszczęściu wielką to jest osłodą. Żeby téż nie moje nadspodziewanie dobre zdrowie, nie wiem cobym tu robił. Może to Malfatowskie zupki wlewały w moje żyły jakiś balsam niszczący wszelką do choroby ochotę? Jeżeli tak, to żałuję że te nasze peryodyczne uczty skończyły się zeszłéj soboty; Malfati bowiem wyjechał na wieś z dzieciakami. Nie uwierzycie jak ładne miejsce zamieszkuje; dziś tydzień byłem u niego z Hummlem. Oprowadzając nas po swojéj siedzibie, piękności jéj stopniowo nam pokazywał, a gdyśmy weszli na sam wierzchołek góry, ani się złazić nie chciało. Dwór zaszczyca go co rok wizytą, sąsiaduje zaś z księżną Anhalt, która zapewne zazdrości mu ogrodu. Z jednéj strony widać Wiedeń pod nogami tak, że się zdaje iż zupełnie z Schönbrunem złączony; z drugiéj wysokie góry, a porozsiewane na

(1) List ten, albo raczéj dwie kartki, które razem połączyłem, tak dokładnie malujący smutne usposobienie duszy Szopena, zawdzięczam uprzejmości Leopolda Matuszyńskiego reżyssera opery w Warszawie, z jaką mi raczył tę drogą pamiątkę po bracie swoim Janie udzielić.

nich wioski i klasztory, każą zapomnieć o przepychu i zgiełku gwarliwego miasta.

Byłem też wczoraj z Kandlerem w Cesarskiéj bibliotece. Trzeba wam wiedzieć, żem się oddawna zbierał zwiedzić najbogatszy może tutaj zbiór starych muzycznych rękopisów, ale do tego nigdy nie przyszło. Nie wiem czy biblioteka Bolońska w większym i systematyczniejszym porządku jest utrzymaną; ale wystawcie sobie moje zdziwienie, gdy pomiędzy nowszemi rękopismami, widzę książkę w futerale z napisem Szopen. Cóś to dosyć grubego i w ładnéj oprawie. Myślę sobie, nigdym jeszcze o innym Szopenie nie słyszał. Był jeden Champain,—a więc myślałem że to może jego nazwisko przekręcone lub coś podobnego. Kandler wyjmuje; patrzę moja ręka,—a to Haslinger rękopism moich *Waryacji* oddał do biblioteki. Myślę sobie d..... macie co chować.

W przeszłą niedzielę miał być wielki fajerwerk, ale się nie udał z powodu niepogody. Szczególna rzecz, iż zawsze prawie w dzień fajerwerkowy, musi być niepogoda. Przytoczę wam w tym względzie anegdotę:

Pewien jegomość miał śliczny frak bronzowy, ale wiele razy go wziął na siebie, tyle razy deszcz padał. Chociaż rzadko się w niego ubierał, przecie nigdy w suchym fraku nie wracał do domu. Idzie tedy do krawca, opowiada mu o tém i pyta, coby w tem była za przyczyna? Krawiec zdziwił się, począł kręcić głową; ale prosi owego pana, ażeby mu ten frak dla wypróbowania na parę dni zostawił, bo nie mógł ręczyć czyli fatalizm ten, do kapelusza, butów lub kamizelki nie jest czasem przywiązany. Ale gdzietam; krawiec wziął frak na siebie, wyszedł na ulicę, a deszcz jak lunie,—musiał nieborak chcąc wrócić do domu nająć fiakra, gdyż zapomniał wziąść z sobą parasola, (albo podobniejsze do prawdy jak wielu twierdzi), że krawcowa wyszła z parasolem na kawę do swojéj kuzynki czyli przyjaciółki. Jakimkolwiekbądź sposobem się stało, krawiec zmokł i frak był wilgotny; trzeba było czekać aż wyschnie, bo inaczéj nie byłby suchym. Poczekawszy, przychodzi krawcowi rozum do głowy rozpruć frak i zobaczyć czy tam czasem niema jakiego kaduka, coby chmury sprowadzał. Wielka myśl!—Pruje rękawy—niema nic. Pruje poły,—niema nic. Pruje piersi — i cóż! Oto między klejonką znajduje kawał fajerwerkowego afisza! Dorozumiał się wszystkiego, wyjął afisz i odtąd frak już więcéj nie mokł!

Darujcie mi, że nic pocieszającego o sobie donieść nie mogę; może też późniéj pocieszę was jeszcze; niczego więcéj nie pragnę, jak waszym życzeniom odpowiedzieć; dotychczas nie mogłem (1).

(Wiedeń, dnia 28 maja 1831 r.)

Wracam z poczty, ale nic nie przyszło. We środę odebrałem list od pani Jarockiéj z przypiskiem kochanego Papeczki, który atoli skąpo literek tak dla mnie drogich nakreślił. Widzę jednakże z tego, że w domu zdrowo. Co się tyczy Marcellego i Jasia, zaklinam ich ażeby do mnie nie pisali, kiedy tacy niegodziwcy, że się ich o parę liter doprosić nie mogę! Taki zły jestem, że listy ich nie rozpieczętowawszy nawet, odesłałbym im napowrót. Będą mi się tłumaczyć brakiem czasu, a ja mam czas co tydzień takie do was dwa listy pisać? Oj ten czas, jak on leci! już koniec maja a ja jeszcze w Wiedniu; zacznie się czerwiec, a ja jeszcze tutaj będę siedzieć, albowiem Kumelski recydywy dostał i znów biédak leży (2).

Widzę że na nudny list zakrawam; ale nie myślcie ażeby to miało być skutkiem jakiego chorobliwego usposobienia, owszem zdrów jestem i bawię się doskonale. Dzisiaj wstawszy rano, grałem do godziny drugiéj, poczém wyszedłem na obiad, gdzie zastałem poczciwego Kaudlera, który mi jak wiecie, przyrzekł listy do Cherubiniego i Paera (3). Po odwiedzeniu chorego, mam zamiar udać się do teatru, albowiem będzie tam koncert i na nim dadzą się słyszeć: Herz, ów żydek skrzypek, coto na koncercie panny Sontag o mały włos u nas w Warszawie nie był wyświstanym i Döhler fortepianista, grający kompozycye Czernego. Na końcu zaś kon-

(1) Alluzya do koncertu, którego pomimo kilko miesięcznego w Wiedniu pobytu, jeszcze dać nie mógł.

(2) Kumelski, towarzysz zamierzonéj do Paryża podróży.

(3) Kaudler Franciszek Salezy urodzony w 1792 r., wysoki znawca muzyki i pisarz zmarł na cholerę we wrześniu 1831 r.

certu, ma grać własne *waryacye* na polskie motywa. Biédne polskie motywa! ani się spodziewacie jakiemi majufesami was naszpikują, nazywając to dla przywabienia publiczności polską muzyką. Brońże tu potém téj polskiéj muzyki, wydaj się ze zdaniem o niéj, a wezmą cię za waryata, tém bardziéj że Czerny, owa wiedeńska wyrocznia w fabrykowaniu wszelkich muzykalnych przysmaków, żadnego jeszcze polskiego tematu nie waryował. Wczoraj po obiedzie, poszedłem razem z Thalbergiem do Ewangielickiego kościoła, gdzie Hesse młody organista z Wrocławia, popisywał się przed dobraną wiedeńską publicznością: same tutejsze cymesy zacząwszy od Stadlera, Kissewetera, Mosela, Seifrieda, Gyrowetza i t p. a skończywszy na kościelnym portierze,— wszystko się razem zgromadziło. Ma talent chłopisko, umie się obejść z organami, zwłaszcza gdy instrument nie popsuty i piszczałek nie brakuje. Zostawił mi Hesse kartkę do swego sztambucha, ale nie wiem co mu wpisać,—nie staje mi konceptu. We środę u Bayerów bawiłem ze Slawikiem do 2giéj po północy. Jest to jeden z tutejszych artystów, z którego mam pociechę i z którym mam zażyłość. Grał wtenczas jak drugi Paganini, ale Paganini młodszy: który przesadzi swojego starszgo brata. Nie uwierzyłbym, gdybym go często nie słuchał,—tylko żałuję, ach żałuję że go Tytus nie poznał. I on oniemi słuchającego, każe płakać ludziom;—co więcéj, każe płakać tygrysom! bo ks. G... i J.....: rozczuleni odjechali.

Co się téż z wami dzieje?!. Śnicie mi się a śnicie! Będziesz tam koniec? Wiem co mi chcecie powiedzieć: „Cierpliwości„ tém się téż pocieszam...

We czwartek był wieczór u Fuksa, gdzie Limmer jeden z tutejszych lepszych artystów popisywał się ze swojemi kompozycyami na 4 wiolonczelle. Merk swoim zwyczajem, wdzięczniéjszemi je uczynił, aniżeli są wistocie. Siedziało się do 12-téj, albowiem przyszła ochota Merkowi grać ze mną swoje *Waryacye*. Merk mi mówi, że lubi zemną grać, ja z nim także lubię, więc musimy się razem dobrze wydawać (1). Jest to pierwszy wiolonczellista, którego z bliska uwielbiam; nie

(1) Szopen napisał dla niego *Poloneza* na wiolonczellę, fortepian, i tamże w Wiedniu wydał.

wiem jak mi się Norblin podoba, tylko nie zapomnijcie o liście do niego (1).

(Wiedeń, 25 czerwca 1831 r.)

Zdrów jestem i to jedno mię pociesza, bo mój wyjazd dziwnie się nie szykuje. Nic podobnego nie doświadczałem jeszcze. Wiecie jak niezdecydowany jestem, a tu przeszkody na każdym kroku. Paszport co dzień mi obiecują i co dzień od Anasza do Kaifasza drepczę, dla odebrania tego, com w depozycie policyi zostawił; dziś jeszcze nowéj dowiedziałem się rzeczy,—że mój paszport tak gdzieś zarzucono, że go nie tylko nie odszukają, ale potrzeba ażebym podał prośbę o wydanie mi nowego. Dziwne nas wszystkich dzisiaj napotykają koleje; chociaż jestem gotów wyjechać, przecie nie mogę. Usłucham rady Bajera, każę sobie podpisać paszport do Anglii, lecz pojadę do Paryża. Malfati daje mi list do swego dobrego przyjaciela Paera. Kaudler pisał do niego o mnie.....

Wczoraj wróciłem do domu po 12téj; był to bowiem Śty Jan a więc Malfatego imieniny. Mecchetti zrobił mu niespodziankę, a zatem: Wild, Cicimarra, panny: Emmering, Lucer i moja godność, sprawiliśmy mu muzykę nielada. Lepiéj wykonanego kwartetu z *Mojżesza* (Rossiniego), nie słyszałem jeszcze; ale „*oh quante lagrime*“ panna Gładkowska nierównie lepiéj na moim koncercie w Warszawie śpiewała. Wild był przy głosie; ja to sprawiałem urząd niby kapelmajstra (2).

Ogromna moc obcych słuchaczów, przysłuchiwała się na tarasie temu koncertowi. Księżyc świecił prześlicznie, fontanny biły, cudna woń z wystawionéj oranżeryi napełniała atmosferę, jedném słowem: noc najpyszniejsza, miejsce najrozkoszniejsze. Nie wystawicie sobie, jaka ładna budowa salonu w którym śpiewano: ogromne okna rozwarte od dołu

(1) Norblin, rodem z Warszawy, piérwszy wiolonczellista Opery Wielkiéj w Paryżu. (Obacz Dykcyonarz Muzyków Polskich Sowińskiego).

(2) Cicimarra mówił, że nie ma w Wiedniu nikogo coby tak dobrze akompaniował jak ja. Pomyślałem sobie: wiem o tém dobrze (Cicho)! *Przyp. Szopena.*

do góry, wychodzą na taras, z którego cały Wiedeń widzieć można; zwierciadeł pełno a światła mało. Przytykający na lewo gabinet podłużnego przysionka, nadawał jakąś ogromną rozległość całemu apartamentowi. Szczerość i uprzejmość domowa, elegancya, dobry byt, dowcip tamże panujący i wyborna kolacya, zatrzymały nas bardzo długo, dopiéro około północy wsiedliśmy do powozów i rozjechaliśmy się do domów.

Z wydatkami trzymam się jak mogę, każdy krajcar tak chowam jak ów pierścień w Warszawie. Możecie go sprzedać jak będziecie chcieli; już i tak dosyć was kosztuję na moje nieszczęście!..

Onegdaj z Kumelskim i Czapkiem (który jest codziennym moim gościem i największe oznaki przyjaźni mi okazuje, do tego nawet stopnia, że się ofiarował dać pieniędzy gdybym potrzebował), byliśmy na Leopoldbergu i na Kahlenbergu. Dzień był cudny. Piękniejszego spaceru, nigdy jeszcze nie miałem. Z Leopoldbergu widać cały Wiedeń, Agram, Aspern, Presburg nawet; klasztor Neuburg-zamek, gdzie Ryszard Lwie serce siedział uwięziony, — i całą wyższą część Dunaju. Po śniadaniu udaliśmy się na Kahlenberg gdzie Sobieski miał swój obóz, (z niego posyłam Izabelli listek.) Jest tam kościół dawniéj Kamedułów, w którym syna swego Jakóba przed uderzeniem na Turków, na rycerza passował i sam do Mszy śtéj służył. Ztamtąd ku wieczorowi, udaliśmy się do Krapfenwaldu, dolinki bardzo przyjemnéj, gdzieśmy dziwny ulicznikowski obyczaj widzieli. Chłopaki stroją się w liście od stóp do głów, i w takim kostiumie niby chodzących i tańczących krzaków, łażą od jednego do drugiego gościa. Taki bęben cały liściamy zakryty, z gałęziami na głowie, nazywa się *fingst König*. Ma to być obchód Zielonych Świątek. Oryginalne głupstwo! Także przed paru dniami byłem u Fuchsa na wieczorze; pokazywał mi swój zbiór 400 autografów, pomiędzy którymi już moje *Rondo* na 2 fortepiany oprawne siedzi. Było tam kilka osób dla poznania mię. Fuchs darował mi arkusz pisma Beethowena.

Wasz list ostatni mocno mię ucieszył, bo to wszyscy najmilsi na jednym świstku. Więc całuję zań nóżki i rączki, jakich tu w całym Wiedniu niema...,

(Wiedeń, 1831 r. Lipca, sobota).

Z ostatniego listu widzę, iż otrzaskaliście się z nieszczęściem; wierzajcie, że i mnie lada co dokuczyć już nie może.... Nadzieja, droga nadzieja!.. Nareszcie mam paszport. Z poniedziałkowéj jazdy atoli nic nie będzie; dopiero w środę puścimy się do Salzburga, a ztamtąd do Monachium. Przybył nam jeszcze kłopot: wyjeżdzając do Bawaryi, potrzeba mieć *gesuntheit-pass* od cholery, inaczéj w granice państwa Bawarskiego nie puszczają. Jużeśmy pół dnia za tém z Kumelskim biegali, po obiedzie ma być koniec. Cieszy mię, że przynajmniéj chodząc po tych dykasteryjnych schodach, mieliśmy dobrą kompanię, bo jeżeli po dobréj minie, pięknéj mowie i paszporcie sądzić, to właśnie Alexander Fredro wraz z nami, za podobnym paszportem chodził.

Cholery tu się strasznie boją. Aż śmiech bierze. Drukowane modlitwy od cholery sprzedają, owoców nie jedzą, a przedewszystkiem z miasta uciekają.

Mecchettemu zostawię do druku *Poloneza*. Pisze mi Ludwika, że pan Elsner kontent był z recenzyi, nie wiem co na drugą powie, bo on mię przecie kompozycyi uczył!

Nic mi nie braknie, tylko życia, ducha więcéj. Zmęczony jestem, ale czasami taki wesół jak w domu bywałem. Gdy mam smutne chwile, udaję się do pani Szaszek, tam zastaję zwykle kilka poczciwych Polek, które mi tyle otuchy dodają i tak mię rozkokoszą, że zaraz tutejszych dygnitarzy zaczynam udawać. Nowy to poliszynel, świeżo mojéj roboty, jeszczeście go nie widzieli, ale ci co na to patrzą, pękają ze śmiechu. Są znów dnie, w których i dwóch słów ze mnie nie wyciągniesz, ani się dogadasz; i wtedy jadę za 30 krajcarów, do Hitzingu albo gdzie w okolice Wiednia, aby się rozerwać.

Zacharkiewicz z Warszawy był u mnie; ona jak mię u Szaszków zobaczyła, nie mogła się wydziwić, że ja taki tęgi mężczyzna. Zapuściłem po prawéj stronie faworyty, i bardzo dużo jest. Z lewéj niepotrzeba, bo tylko prawą siada się do publiczności.

Onegdaj był u mnie poczciwy Würflisko, nadszedł także Czapek, Kumelski i t. p. i pojechalismy do St. Veit. Ładne to miejsce, ale nie powiem tego o tak zwaném tutaj Tivoli,

gdzie jest rodzaj karuzelu, czyli ślizgawki na wozach; oni to zwą *Rutsch*. Jest to ogromne głupstwo. Pełno jednakże osób spuszcza się temi wozami z góry na dół, bez żadnego celu, dla pustéj tylko zabawy. Anim chciał na to patrzeć; dopiéro późniéj, ponieważ nas było ośmiu (i to samych dobrych przyjaciół, jako to Rayter tutejszy professor politechniki, Helcel z Krakowa i t. p.) jakeśmy się razem zaczęli puszczać na wyścigi kto prędzéj doleci, pomagając sobie nogami, nabrało to celu współubiegania się i z zapalczywego téj głupiéj wiedeńskiéj zabawy malkontenta, gorliwym prozelitą zostałem....

Dawano też tu *Oblężenie Koryntu* Rossiniego: bardzo dobrze. Cieszy mię, żem się tego doczekał. Wild, Binder, Forti Heinfetter, jedném słowem co tylko Wiedeń posiada dobrego, wystąpiło i bardzo ładnie. Z Czapkiem który codziennym moim gościem, (na odwiedziny skarżyć się nie mogę, damy nawet mnie odwiedzają, jako to: Bayerowa, Fischerowa, i t. p.) byłem razem na téj operze, a po niéj na kolacyi tam, gdzie Beethowen zawsze pijał.

Ale, żebym nie zapomniał: zapewne przyjdzie mi wziąć więcéj nieco pieniędzy od Petra, nad to co mi Papa przeznaczył. Rządzę się jak mogę, ale dalibóg nie mogę inaczéj bobym się o bardzo lekkim worku puścił w drogę. Późniéj, broń Boże choroby lub czego, i wybyście mi mogli wyrzucać czemu się więcéj nie wzięło. Darujcie, wszak ja tu już maj, czewiec i lipiec żyję z tych pieniędzy, i więcéj obiadów płacę jak w zimie. Nie czynię tego z własnego tylko natchnienia ale z cudzych przestróg. Przykro mi, że muszę was o to dzisiaj prosić. Papeczka już nie 3 grosze na mnie wydał! Wiem jak się to za groszem męczyć potrzeba, że dzisiaj na was i męki nie pomogą,— ale nadzieja! Przykrzéj mi, prosić jak wam dać, ale łatwiéj mi wziąć jak wam oddać. Bóg się przecie ulituje!—punktum. W październiku rok się skończy, jak mi paszport udzielono; zapewne potrzeba go będzie przedłużyć; jak ja to mam zrobić?

Często na ulicy latam za jakim Jasiem albo Tytusem; wczoraj byłbym przysiągł że Tytus z tyłu, a to jakiś p...krew prusak. Wszystkie te epitety niech wam nie dają złego wyobrażenia o mojéj wiedeńskiéj edukacyi; wprawdzie tutaj nie mają ani tyle grzeczności ani dobranych wyrazów

w rozmowie, wyjąwszy „*Koszamer diner*" na końcu każdego frazesu; ale ja się niczego tutaj nie uczę co jest wiedeńskiém z natury, tylko tego co wprowadzone a co dobre. Walca naprzykład, żadnego należycie tańczyć nie umiem, to już dosyć! Mój fortepian nie słyszał tylko mazury...

Boże wam daj zdrowie! Oby żaden ze znajomych nie zmarł. Gucia szkoda... Wasze listy kłują i ogromną pieczęć zdrowia kładą, tak się boją: paniczny strach!"

W ostatnim liście a raczéj karteczce, pisanéj dnia 20 lipca 1831 r. donosi Fryderyk rodzicom, że jest na wsiadaniu, udając się wraz z Kumelskim przez Lintz i Salcburg do Monachium. Pisze więc, że zdrowie mu służy i że Szteinkeller zaopatrzył go w pieniądze; ale obawiając się ażeby mu one nie wystarczyły, prosi o nowe do Monachium takowych nadesłanie.

IV.

Oto wszystko co dotąd z ogromnego zbioru listów pisywanych przez Szopena do rodziny zostało, a i te nawet nie są już własną jego ręką kreślone, lecz przezemnie w roku 1862 tylko odpisane. Pierwotnie, dopóki jeszcze wszystkie istniały, miałem zamiar wydać je kolejno w *Bibliotece Warszawskiéj*, najprzód pod tytułem: *Młodości Szopena*, a następnie wziąwszy za tło własnoręczne iego pisma, przez lat ośmnaście bez przerwy nadsyłane z Paryża do Warszawy, a w których zawierał się niezmiernie zajmujący materyał do charakterystyki towarzyskiego i artystycznego jego życia w stolicy Francyi, zamierzałem skreślić obraz dalszego jego żywota; atoli zawistne losy, zaledwie jedną część zamierzonéj przezemnie pracy do skutku doprowadzić mi dozwoliły. Cały bowiem zbiór listów, uległ zniszczeniu. Zacna pewna Angielka Miss S***, namiętna wielbicielka i uczennica Fryderyka, niechcąc ażeby po jego śmierci to wszystko co do niego należało, przeszło drogą detalicznéj sprzedaży w obce ręce, zakupiła dla siebie i urządziła pewien rodzaj Szopenowskiego muzeum. Lecz nietyle utrata tych przedmiotów, jak raczéj strata owych listów

bolesną nam być powinna, gdyż w nich był zawarty najdokładniejszy duchowy Szopena wizerunek. Kto go chciał poznać jako syna, brata, przyjaciela, jako człowieka jedném słowem, tylko z tych martwych napozór liter własną jego ręką poufnie kreślonych, mógł go najdokładniéj poznać. Wszystkie marzenia genialnego artysty, doznane radości, zawody, rozczarowania, gorycze codziennéj walki życia, tęsknota za swojemi, miłość i poszanowcnie dla wielkich spraw tego świata i dla ziemi która była kolebką jego młodości, wszystko to dziwnie nieraz pięknym i dosadnym językiem kreślił. Szczególniéj listy pisywane z epoki najpomyślniejszéj i najświetniejszéj jego artystycznych powodzeń w Paryżu niesłychanie ciekawemi i zajmującemi były. Swoboda umysłu, puszczała wodze wrodzonego Fryderykowi dowcipu, który tryskał z pod jego pióra niby gwałtowna kaskada różnobarwneni tęczy kolorami na wszystkie strony. Nikt od niego nie umiał trafniéj oceniać i charakteryzować znakomitszych ludzi w sztukach, umiejętnościach lub polityce, a z którymi okoliczności zetknąć mu się dozwalały. W jednym pociągu pióra tego genialnego artysty, więcéj było nieraz prawdy i trafności sądu, aniżeli w setnych najstaranniéj i najefektowniéj wystylizowanych komentarzach, ile że sąd ten pochodził z wewnętrznych duszy jego wrażeń i poufnie tylko najbliższym swoim był udzielany. Atoli w listach na schyłku jego życia pisywanych, humor i dowcip ustępował miejsca tęsknocie i gorączkowéj niespokojności o duchową przyszłość swoją. To przygotowanie się do téj wielkiéj w nieskończoność podróży, zaprzątało go całego, dziwną moralną troską wszystkie jego myśli piętnowało...

Już w powyżéj przytoczonych listach Fryderyka, pisywanych w pierwszych dniach przyjazdu do Wiednia a następnych, kreślonych przed udaniem się do Paryża, zwracałem uwagę czytelników na różnicę jaka istnieje w duchowém usposobieniu naszego artysty. Wiosną jego życia w stolicy Francyi były lata pomiędzy 1832 a 1839 rokiem spędzone, jak również wiosną pobytu jego w Wiedniu obfitą w artystyczne marzenia, było tylko piérwszych parę miesięcy. W miarę jak pobyt jego w tém mieście się przedłużał, powab swoj tracił, kwiat illuzyi wiądł, listek po listku opadał, aż w końcu nagą, suchą tylko łodygę rzeczywistości przedstawiał. Więc téż z niecierpliwością rozczarowanego ze świetnych marzeń młodzieńca, pragnął Szopen Wiedeń porzucić. Dlaczego jednakże nie do Włoch lecz do Francyi drogę obrał, domyślać się można, iż zapewne z powodu trwających tamże niepokojów, tudzież trudności w uzyskaniu wizy paszportowéj.

Zatrzymawszy się dni kilka w Monachium, dzięki polecającym listom, znalazł Szopen życzliwe tamże przyjęcie; wystąpił nawet publicznie z koncertem z wielkiém dla siebie powodzeniem, czarując po raz ostatni niemiecką publiczność, niewysłowionym urokiem gry swojéj. W ciągu bowiem ośmnastoletniego za granicą swego artystycznego zawodu, nigdy już więcéj Szopen w Niemczech publicznie jako wirtuoz nie występował. Zdaje się że ostatni jego pobyt w Wiedniu odjął mu nazawsze do tego ochotę. Widzieliśmy, jak w każdym początkowym liście, często o zamiarze wystąpienia z koncertem pisze, jak tém najwięcéj był zajęty, jak troszczył się o wybór dzieł na program, danie bowiem koncertu było najgłówniejszym celem jego w Wiedniu pobytu. Jednakże, wypadki polityczne z jednéj strony, obojętność, niechęć lub zawiść ludzka z drugiéj strony, utrudniały nadzwyczajnie urzeczywistnienie tego zamiaru. W późniejszych listach nie wspomina nawet Szopen o danym koncerie, chociaż takowy istotnie miał miejsce, nieprzynosząc mu ani moralnego, ani materyalnego wynagrodzenia.

Pokrzepiony cokolwiek na duchu, doznaném w Monachium artystyczném powodzeniem, przybył Fryderyk w początkach sierpnia 1831 roku do Paryża. Wrzały w nim jeszcze gwałtownie namiętności polityczne; nowy porządek rzeczy istniejący zaledwie od roku, co chwila groził jeszcze wywrotem, nie wiele więc ufności w trwałość jego w ogóle narodu wzbudzać był w stanie. Jakkolwiek stan taki rzeczy nieprzychylnym bywa artyzmowi, przecie Fryderyka nie wiele to obchodziło, gdyż on jadąc do Paryża, nie tyle miał na myśli chęć publicznego z talentem swoim produkowania się, jak raczéj dalsze swoje muzykalne kształcenie. Więc téż nie tracąc czasu, udał się zaraz do Kalkbrennera, najznakomitszego podówczas w Paryżu fortepianisty, z zamiarem pracowania jeszcze pod jego kierunkiem na forte-

pianie. Kalkbrenner poznał odrazu z kim ma do czynienia; dziwnie piękna i oryginalna gra Szopena, uczyniła na nim pewne wrażenie; ten młodzieniec nie wiedząc może o tém iż jest skończonym już wirtuozem, przedstawia mu się na ucznia; taki uczeń drugi raz się nie zdarzy; rozgłos jego jest rozgłosem nauczyciela, sława pierwszego w pewnéj części spada zawsze na drugiego. Kalkbrennerowi niezbywało wprawdzie na rozgłosie i wziętości w Paryżu, owszem uchodził on za najpierwszego fortepianistę, ale mogąc się pochwalić takim uczniem, który niechybnie cały muzykalny świat zadziwiać będzie swoim genialnym talentem, było właśnie dlań rzeczą pożądaną. Nie tylko że z największą chęcią ofiarował się być Szopena nauczycielem, ale mu wręcz oświadczył, iż kurs nauki musi trwać przynajmniéj *trzy lata!* Kiedy wieść ta doszła do uszu Elsnera, zacny ten przewodnik muzykalnéj młodzieży w Warszawie, zafrasował się mocno; gdyż jako dawny nauczyciel Fryderyka, wiedział jak bogate źródło muzykalnego talentu w nim istniało. Rozwinąć, rozszerzyć drogi wiodące do natchnienia należało, a nie krępować jednostronném nauki specyalizowaniem. Więc téż zaraz porwał za pióro, a pisząc do Fryderyka po przyjacielsku, okazał mu najprzód swoje zdziwienie, iż Kalkbrenner aż trzy lata naznacza mu jeszcze do nauki grania na fortepianie; że granie nawet najdoskonalsze, chociażby takie jak Paganiniego na skrzypcach, samo w sobie uważane, jest tylko środkiem a nie celem muzyki. Muzyka ma wznioślejsze zadanie, nikt jéj granic oznaczać nie może, jak nie można naznaczać granic polotowi ducha ludzkiego. „Sława"—pisał daléj Elsner—sława jaką posiadali Mozart, Beethowen jako fortepianiści, dawno przebrzmiała, nikogo ona dzisiaj nie obchodzi, ale dzieła ich żyją i są najwyższą dotąd ozdobą sztuki muzycznéj. Spodziewam się, że skoro cię Kalkbrenner lepiéj pozna, wyrok swój odmieni."

Właśnie dlatego, że się na nim dobrze poznał, nie chciał go wypuścić ze swojéj opieki, a raczéj postanowił przykuć go jak niewolnika do swego tryumfującego rydwanu. Na powyższe uwagi Elsnera, odpisał Szopen usprawiedliwiając się, w sposób następujący.

(Paryż, dnia 14 grudnia 1831).

„List Pański był mi dowodem nowym téj ojcowskiéj troskliwości, tych prawdziwych szczerych życzeń, jakie Pan zachować raczyłeś dla najprzywiązańszego z uczniów. Roku 1830, lubom widział ile mi niedostaje, i jak mi daleko do sprostania któremukolwiek ze wzorów, które miałem w Panu, gdym chciał się o to pokusić, śmiałem jednakże sobie pomyśleć: zbliżę się choć trochę do niego i jeżeli nie *Łokietek*, to może jaki *Laskonogi* wyjdzie z mojéj mózgownicy (1). Ale dziś, widząc tego rodzaju wszelkie nadzieje zniweczone, przymuszony jestem myśleć o torowaniu sobie drogi w świecie jako *pianista*, odkładając tylko na niejakiś czas *wyższe widoki artystyczne*, jakie mi Pan słusznie w liście swoim przedstawiasz. Aby być *kompozytorem wielkim*, trzebaby ogromnego doświadczenia, które, jak mię Pan uczyłeś, nabywa się nie tylko słyszeniem obcych, ale więcéj jeszcze słyszeniem prac własnych. Kilkunastu zdatnéj młodzieży, uczniów konserwatoryum paryzkiego, z założonemi rękami czekają przedstawienia oper, symfonij, kantat swoich, które tylko Cherubini i Lessuer na papierze widzieli. (Nie mówię już tu o małych teatrzykach, do których także trudno się dochrapać, a dochrapawszy się jak naprzykład Tomasz Nidecki na Leopoldsztadzie, mimo czasem wielkich zalet, żadnego znaczenia artystycznego się nie nabywa). Meyerber od 10 lat jako kompozytor oper chlubnie znany, trzy lata pracował, płacił i siedział w Paryżu, nim przecie (kiedy już zadużo Aubera było), przyszedł do wystawienia furore robiącego *Roberta Diabła*. Podług mnie, co się tyczy *objawienia* się w świecie muzykalnym, szczęśliwszy ten, kto może być kompozytorem i aktorem zarazem. Znają mię już jako pianistę gdzieniegdzie w Niemczech; niektóre muzykalne gazety wspomniały o moich koncertach czyniąc nadzieję, że wkrotce mię zobaczą zajmującego miejsce między piérwszymi mojego instrumentu wirtuozami, (co się znaczy *disce puer, faciam te mości panie*). Dziś mi się nastręcza jedyna sposobność dotrzymania wrodzonéj obietnicy; czemu

(1) Alluzya do napisanéj w 1818 r. przez Elsnera opery pod tytułem *Król Łokietek czyli Wiśliczanki.*

jéj nie mam chwytać? W Niemczech nikomubym się na fortepianie uczyć nie dał; bo choć nie jeden czuł, że mi czegoś jeszcze niedostaje, nie wiedział sam czego. Ja zaś nie widziałem w swojém oku téj belki, jaka mi dzisiaj patrzéć zawadza. Trzy lata jest wiele! zawiele nawet, jak sam Kalkbrenner lepiéj mi się przypatrzywszy, przyznał (co dowodzić Panu powinno, iż prawdziwy, z zasłużoną chwałą wirtuoz, zazdrości nie zna). Jednakże i na trzy lata pracybym przystał, bylebym tylko mógł tym sposobem duży uczynić krok w mych przedsięwzięciach. Mam tyle pojęcia, że nie będę kopią Kalkbrenera; nie zdoła on zatrzeć zbyt śmiałéj może, ale szlachetnéj chęci i myśli: *utworzenia sobie nowego świata;* i jeżeli pracować będę, to dlatego żeby na tém mocniejszych nogach stanąć. Riesowi (1) znanemu już z fortepianu, łatwiej było za *Narzeczoną* laury w Berlinie i Frankfurcie zbierać, a Spohr jakże długo za dobrego skrzypka był miany, nim *Jessondę*, *Fausta* i t. d. napisał. Spodziewam się, że mi Pan nie odmówisz swego błogosławieństwa, wiedząc na jakich zasadach i z jakiém przedsięwzięciem postępuję.

Rodzice zapewne Panu powiedzą, o odłożeniu mego koncertu na 25. Mam wielką biédę z układem takowego, i żeby nie Paer, Kalkbrenner a szczególniéj Norblin (który się Panu ślicznie kłania), nie mógłbym w tak krótkim czasie (oni to mało, dwa miesiące na Paryż rachują), nic zrobić. Baillot bardzo grzeczny i przyjemny, gra kwintet Beethowena a Kalkbrenner ze mną *Duo* z akompaniamentem 4 fortepianów.

Reichę znam tylko z widzenia; wiesz Pan ile tego człowieka poznać byłem ciekawy. Poznałem tu kilku uczniów, którzy mi inne o nim dali wyobrażenie. Nie lubi on muzyki, nawet na koncertach konserwatoryum nie bywa, nie chce z nikim o muzyce rozprawiać, na swoich lekcyach tylko na zegarek patrzy. Toż samo Cherubini, tylko o cholerze i rewolucyach *radotuje*. Ci panowie (1), są to suszone pupki, na które się tylko z uszanowaniem patrzeć trzeba,

(1) Ferdynand Ries, fortepianista i uczeń Beethowena.

(1) Reicha, Cherubini i Lessuer, ówcześni professorowie kompozycyi w paryzkiém konserwatoryum.

a z dzieł ich uczyć się można. Fetis znów, którego znam i od którego można istotnie wiele się dowiedzieć, mieszka za miastem, i tylko na lekcyach w Paryżu bywa; bo inaczéj dawno siedziałby u Śtéj Pelagii za długi, których ma więcéj niż mu *Revue musical* przynosi. Trzeba wiedzieć, że prawo pozwala dłużników aresztować *a domicile;* dlatego Fetis w Paryżu w swojem *domicile* nie siedzi, tylko tam, gdzie go prawo dosięgnąć nie może.

Zbieg mnóstwa ludzi interesujących w każdym rodzaju sztuki muzycznéj, jest tu do podziwienia. Trzy orkiestry: Akademii, Włochów i Feydeau, są doskonałe. Rossini jest reżyserem swojéj opery, która jest najlepszą w Europie: Lablache, Rubini, Pasta (która teraz wyjechała), Malibran, Schroeder-Devrient, Santini i t. d. zachwycają *wielki ton* trzy razy na tydzień. Nourrit, Levasseur, Dérivis, pani Damoreau Cinti, panna Dorus, podnoszą Wielką operę; Cholet, panna Casimir Prévost, są podziwiani w Operze komicznéj: słowem, tu dopiéro można się dowiedzieć, co to jest śpiew. Dziś niezawodnie nie Pasta, ale Malibran (Garcia) jest pierwszą w Europie; cudo! Walenty Radziwiłł się rozpływa nad nią i nieraz sobie Pana przy téj spsobności wystawiamy, jakbyś ją Pan admirował! Lessuer dziękuje Panu ślicznie za pamięć i każe Panu oświadczyć milion ukłonów; najmiléj o Panu wspomina i co wizyta mię pyta: *et que fait notre bon Mr. Elesenere, racontez moi de ses nouvelles„* i zaraz przechodzi do pańskiego *Requiem*, które Pan mu przysłałeś. Wszyscy tu pana kochamy i wielbimy zacząwszy odemnie, a skończywszy na pańskim chrzestnym synu, Antonim Orłowskim, który podobno nie tak zaraz przyjdzie do wystawienia swojéj operetki, bo *sujet* nie najlepsze, a prócz tego teatr zamknięty aż do Nowego roku. Król nie sypie pieniędzmi, między artystami w ogóle chudo; Anglicy tylko płacą.

Pisałbym do jutra! dosyć już tego nudnego; racz Pan przyjąć zapewnienie mojéj wdzięczności i uszanowanie, z jakiém zostaję do zgonu najprzywiązańszym uczniem."

Ale nietylko pismo Elsnera, lecz sam zdrowy i bystry zmysł Fryderyka poznał wkrótce, jak zbyteczną i szkodliwą nawet rzeczą mogła być taka nauka dla niego. Ażeby zostać niewolniczym naśladowcą gry Kalkbrennera, kopią oryginału posiadającego pewne ujemne strony, maszyną przez lat trzy

metodą Kalkbrenerowską nakręcaną, na to niepotrzeba było nawet posiadać tyle wrodzonéj bystrości umysłu, ile go Szopen posiadał. On co dotychczas nie poszedł w niczyje ślady, co obok Hummla, Fielda i innych najlepszych w owe czasy jakich mu się zdarzyło słyszeć fortepianistów, potrafił zostać samym sobą; on co umiał nadać pewną oryginalność grze swojéj, którą już najwytrawniejsi znawcy przed dwoma laty w Wiedniu podziwiać mieli sposobność; on nareszcie, co jako kompozytor stał już o tyle wysoko, iż mało co lepszych dzieł miał utworzyć nad te, które w Warszawie napisał: poznał wkrótce, gdzie pod przewodnictwem Kalkbrennera mógłby zajść. Więc w kilka tygodni wycofał się z téj narzuconéj sobie opieki, ażeby samoistnie dążyć do pożądanego celu. O zajmowaniu się większego rozmiaru kompozycyami, nie można teraz było myśleć; przybywszy bowiem do Paryża bez wielkich pieniężnych zasobów, jako artysta bez imienia jeszcze, musiał przedewszystkiem starać się o wypłynięcie na wierzch z pośród tłumu muzyków; musiał ciężkiemi ofiarami czasu i talentu, torować sobie drogę do stanowiska zajmowanego przez Kalkbrennera, Herza, Moschelesa i innych fortepianistów, posiadających już znakomitą wziętość. Lecz pomimo stosunków jakie sobie zdołał wyrobić, pomimo znacznéj liczby przyjaciół, którzy niedługo po przybyciu jego do Paryża z nim się połączyli, Szopen zaczął tracić nadzieję ażali mu się uda powyższy cel osiągnąć. W niektórych uczęszczanych przez niego salonach, poczęto wprawdzie zwracać na niego jako fortepianistę uwagę, lecz do rozgłosu i wziętości daleko jeszcze było. Fundusze z domu otrzymywane, niesłychanie prędko się wyczerpywały, zarobić na utrzymanie było trudno, z koncertami szło upornie, bo publiczność nie miała wielkiéj ochoty słuchać nieznanego wirtuoza. Fryderyk dotąd tak ufny w swoją przyszłość, zawahał się, zwątpienie duszę jego poczęło ogarniać. Listy, które z téj epoki do rodziców pisywał, zawierały dużo posępnego kolorytu. Paryż go męczył, mało utrzymania się w nim przedstawiał nadziei, współzawodnictwo było wielkie, publiczność zbyt zmienną i kapryśną. W takim stanie rzeczy, myśl jego poczęła się odwracać w inne strony; zdawało mu się, iż w Ameryce naprzykład, gdzie dobrych artystów nie wielu, łatwiéj mu przyjdzie zarobić na swoje utrzymanie i tym sposobem ulżyć rodzicom w wydatkach na niego dotąd ponoszonych. I rozpoczął z nimi żwawą korrespondencyę, w któréj wszelkiemi siłami starał się im dowieść, że najlepiéj uczyni gdy Paryż opuści i po drugiéj stronie Oceanu się osiedli. Szczęściem, że uległ w końcu silnym naleganiom ojca i matki, i pozostał na miejscu. Tutaj mimowolnie nasuwa nam się pytanie, jaką rolę byłby Szopen odgrywał w Ameryce, w téj ojczyznie Barnumów i żelaznych Monitorów? On, który całe życie miał wstręt do szarlataneryi, którego wytworne gusta i arystokratyczne skłonności, były w zupełnéj sprzeczności do gminno-demokratycznych obyczajów kupieckiego i przemysłowego wszechwładztwa? Możeby mu na dollarach nie zbywało, ale z pewnością imię jego nie byłoby nigdy tak świetnie na horyzoncie sztuki muzycznéj jaśniało; utonąłby w tłumie artystycznych wyrobników rozmiłowanych w groszu, chciwie na zbieranie takowego pracujących.

Lecz jakoś wkrótce potém, stanowisko jego w Paryżu zaczęło się znacznie poprawiać; najznakomitsze salony stolicy poczęły się ubiegać o zaszczyt posiadania w swoich murach tego wytwornego artystę. Imię jego powtarzano z uwielbieniem, żądaniom lekcyi nastarczyć nie mógł, a z niemi zawitał dostatek. Odtąd Szopen spokojniejszy o przyszłość swoją, przestał myśleć o Ameryce. W końcu 1834 roku, Fryderyk miał szczęście połączyć się ze swoim najserdeczniejszym przyjacielem, Janem Matuszyńskim; w liście pisanym do swojego szwagra, Matuszyński tak o tém wspomina:

„W Paryżu pierwszém zatrudnieniem mojém było szukać Szopena; nie zdołałbym tu opisać szczęścia, któregośmy zobopólnie doznali, po pięcioletniém nie widzeniu się. Utył on, wyrosł, zaledwiem go poznał. Szopen jest pierwszym artystą dzisiaj na fortepianie; lekcyj daje mnóstwo, a wszystko po 15 franków. Kompozycye jego najwięcéj są teraz pokupnemi, napisał téż ich niemało... Mieszkam z nim razem, chociaż mi daleko do l'École de medecine i szpitali... Szopen jest mi wszystkiém; z nim tylko żyję. Wieczorem idziemy na teatr albo wizytę, a jeżeli nie, to się w domu siedzi...“

Najwłaściwszém polem życia dla Fryderyka był salon. Jak są rośliny nie mogące istnieć bez ciepłéj atmosfery, tak ten wielki artysta, bez wykwintnego towarzystwa obejść się

nie mógł. Zawód Szopena tém się właśnie od wszystkich jego współzawodników wyróżnia, że po za obrębem salonu nie wiele czynił, coby popularności jego dopomagać mogło. Muzykalnych podróży, od czasu zamieszkania w Paryżu, nie przedsiębrał już nigdy, koncertów bowiem publicznych dawać nie lubił. Delikatny i nerwowy z natury, miał on wstręt do występowania przed tłumną, obojętną i nieznaną sobie publicznością. Każdy taki koncert przykre na nim robił wrażenie, męczył go i tylko w koniecznych okolicznościach, naciskany namowami przyjaciół, na danie takowego się decydował; lecz za to, gdy w salonie ujrzał się otoczonym wspaniałym wieńcem pięknych i wykształconych kobiét, gdy wzrok jego spotkał około siebie znane i przyjazne tylko oblicza, wtedy nowe życie w niego wstępowało: wyraz smutku i malancholii, tak często twarz jego pokrywający, ustępował miejsca ujmującemu i niezmiernie sympatycznemu uśmiechowi. Zamknięty w sobie i zimny napozór, ożywiał się, mowa jego tryskała werwą dowcipu, wszelkiego rodzaju figle, czyli jak sam nazywał „*poliszynele*“ miał na zawołanie, a zasiadłszy w takiém usposobieniu do fortepianu, puszczał wodze natchnieniu dziwnym urokiem gry swojéj, rozrzewniając i zachwycając słuchaczy.

Już w roku 1832, kompozycye jego poczęto na wszystkie strony rozchwytywać; wydawcy nut muzycznych ubiegali się o możność ich publikowania. Imię Szopena stawało się z dniem każdym głośniejsze w Paryżu, w Niemczech nawet sława jego rozlegać się poczęła, a Lipsk stał sie ogniskiem, z którego dzieła Fryderyka na cały świat się rozchodziły.

Jako kompozytor, nie miał on, zdaje się, skłonności i daru do tworzenia obszernych rozmiarem dzieł muzycznych. Elsner nieraz jeszcze odzywał się pismiennie do Szopena, by talent odtwarzania melodyj narodowych, którego dał tyle w *mazurkach* mianowicie dowodów, przeniósł na pole muzyki dramatycznéj, aby spróbował napisać operę do treści narodowéj, ale bezskutecznie; życie bowiem jakie w Paryżu prowadził, nie dozwalało mu się na to zdobyć. Lecz głęboka poetyczność myśli, piękność i oryginalność formy, najmniejsze nawet jego utwory cechująca, wyrobiły mu znakomite i wyjątkowe w dziedzinie sztuki muzycznéj stanowisko. Jego *Mazurki*, *Polonezy*, *Ballady*, *Nokturna*, *Walce*, pod względem

wykończenia formy, zostaną zawsze arcydziełami w swoim rodzaju: romantyzm w najpiękniejszém znaczeniu tego słowa, oto główna, charakterystyczna strona jego utworów. Do muzyki instrumentalnéj nie miał już późniéj skłonności. Orkiestra z całém swojém bogactwem brzmienia, nie była w stanie zniewolić go ku sobie. Dopóki jeszcze żył w Warszawie, częściéj do jéj pomocy w uwydatnieniu i zaokrągleniu prac swoich się uciekał: *Koncerta* E i F miękkie, *Krakowiaki*, *Fantazye z polskich pieśni*, *Waryacye z Don Juana*, *Rondo*, posiadają akompaniament orkiestrowy; lecz dzieła w Paryżu pisane, wszystkie w solowéj formie są wydane. Wyjątek stanowią tylko: *Duet* na fortepian i wiolonczellę z motywów *Roberta Diabła*, napisany wspólnie z Frankomem, znakomitym tamtejszym wiolonczellistą, *Sonata* i *Polonez* jeszcze w Wiedniu dla Merka napisany. Jak z tego widzimy, tkliwa natura Chopina dziwny jakiś miała pociąg do wiolonczelli; oprócz fortepianu, jéj jednéj powierzał jeszcze niekiedy missyę tłumaczenia melodyjnych uczuć swoich. Jedyném dziełem wkraczającém już w dziedzinę muzyki instrumentalnéj, jest jego *Tryo* na fortepian, skrzypce i wiolonczellę, także w Warszawie dla ks. Antoniego Radziwiłła ułożone.

Zastanawiającą jest rzeczą, iż Szopen nawet *Marsza żałobnego* nie miał już chęci na orkiestrę instrumentować. Dzieło to, jedyne może ze wszystkich, najodpowiedniejszém jest ku temu. Snać odwykł on w Paryżu od władania instrumentami orkiestrowemi, rozstał się z nimi oddawna, stał się im obcym, więc téż i zaufania nie mógł do nich w sobie wyrobić. Potrzeba było dopiéro jego śmierci, ażeby ponure a potężne głębokim smutkiem to dzieło, obcą ręką (Halewego) instrumentowane, towarzyszyło swemu twórcy do grobu. *Marsz żałobny* pierwszém jest dziełem Szopena, które obiło się o uszy mass ludowych (1).

Jeżeli piérwsze pomysły do przedsięwziętego dzieła łatwo mu przychodziły, za to opracowanie ich wiele mu czasu zabierało; nie oddał on do druku dzieła, dopóki go starannie

(1) Obecnie w całych Niemczech prawie, grywanym jest przy obchodach żałobnych, na dętych zwykle instrumentach. W Warszawie, dyrektor muzyki Quattrini, bardzo szczęśliwie ułożył go na orkiestrę, chóry i głosy solowe.

nie wykończył, co zwykle bardzo wiele czasu mu zabierało. Ztądto liczba jego utworów, w porównaniu z innymi mniéj sumiennemi pod tym względem kompozytorami na fortepianie, jest dosyć szczupła. Był jednakże czas, pomiędzy 1832 a 1836 rokiem, że po kilka utworów nowych rocznie na świat wychodziło. W końcu 1832 r. Probst i Kistner w Lipsku ogłosili aż ośm dzieł nowych Szopena. Z tego to powodu, Robert Schumann, znakomity sam fortepianista, kompozytor i pisarz, a przytém nadzwyczajny wielbiciel geniuszu Fryderyka, pisał do ojca swéj żony, F. Wiecka, co następuje: „Kiedy się dowiem o wyjściu jakiego nowego dzieła Szopena, to cieszę się jak dziecko... Jednakże zaczynam się o niego trochę obawiać, gdyż za wiele na jeden raz drukuje. Sława karlim tylko krokiem zwykła postępować, nienależy więc jéj zmuszać do prędszego biegu.“ Popularność swoję w Niemczech zawdzięcza Szopen głównie Schumannowi, on to wraz z żoną swoją, sławną Klarą Wieck, na wszystkich koncertach dzieła naszego współziomka wykonywali.

Jak już wyżéj wspominałem, Szopen od czasu przybycia swego do Paryża, nigdy już w Niemczech nie dał się słyszéć; raz tylko udając się do Maryenbadu, nie tyle dla kuracyi jak raczéj dla widzenia się z rodziną, przejeżdżał przez Niemcy, ale nigdzie się nie zatrzymywał. W jednym Lipsku zabawił dni kilka, jedynie dlatego, aby się poznać bliżéj z Schumannem. Józef Wasielewski w dziele swojém (1) przytacza list tego wielkiego niemieckiego artysty, pisany pod dniem 16 września 1836 roku, do Henryka Dorna, kapellmistrza króla pruskiego w Berlinie, w którym czytamy słowa następujące: „Właśnie kiedym wczoraj list twój odebrał i sposobiłem się do odpowiedzi, drzwi się otwierają i wchodzi — Kto? — Szopen. Była to dla mnie wielka radość; jeden z najpiękniejszych dni w mojém życiu. Z tego powodu i dziś jeszcze świętowałem. Szopen ofiarował mi nową swoją *Balladę*. Podług mnie, jest to jedno z najgenialniejszych jego dzieł; nawet mu powiedziałem, że ze wszystkich najwięcéj mi się podoba. Po długim namyśle, odrzekł mi z pewnym naciskiem: — Bardzo mi to miło słyszéć, mnie samemu tak samo się zdaje. — Oprócz tego grał mi bardzo wiele nowych

(1) *Eine Biografie von Robert Schumann*, Dresden, 1858.

Etiudów, *Nokturnów*, *Mazurków*, wszystko piękne, nad wszelkie porównania. Kiedy Szopen gra, niepodobna oprzeć się wzruszeniu. Gdybyś go poznał, pokochałbyś go niezawodnie.....“

Rzadkie zaiste wyznanie ze strony człowieka pracującego w jednym i tym samym zawodzie! Ale urok zjednywania sobie przyjaciół pomiędzy współzawodnikami nawet, Szopen posiadał w wysokim stopniu. Liszt, ów olbrzym fortepianistów, był jego stałym przyjacielem, po śmierci nawet naszego artysty, w pełném uniesienia piśmie, złożył dowody swego dla Fryderyka uwielbienia. Często w tych samych towarzystwach w Paryżu bywając, nietylko najmniejszego cienia zazdrości pomiędzy niemi nie było, lecz owszem najżyczliwsze względy przyjaźni wspólnie sobie zawsze okazywali. Zdarzyło się, iż w jednym salonie, gdzie razem bawili, poczęto Fryderyka prosić, ażeby zagrał co na fortepianie; Liszt przyłączywszy się do innych, nalegał na niego, by skłonił się do życzeń powszechnych. Nareszcie Szopen zbliża się do fortepianu, lecz spostrzega iż brakuje pedałów; dopiéro gospodyni domu przypomina sobie, że dnia poprzedniego właśnie wyjęto pedały dla naprawy i takowych dotąd z fabryki nie odesłano. Liszt widząc powszechny żal z tego zdarzenia, oświadcza, iż to nic nie szkodzi, że on zastąpi brakujące pedały, byleby tylko Szopen grać zechciał. Jakoż w saméj rzeczy, wlazł pod fortepian i klęcząc przez cały czas grania, najdoskonaléj wypełniał funkcyę pedałów.

Fryderyk posiadał w wysokim stopniu dar naśladowania; zmysł jego obserwacyjny z wielką bystrością dostrzegł zaraz, co w kim było oryginalnego lub śmiesznego, i z dziwną sztuką zdolnym był to natychmiast uwydatnić. Już w jednym z wiedeńskich jego listów znajdujemy wzmiankę, z jaką sztuką odtwarzał austryackich dygnitarzów; lecz gdy mu przyszła ochota naśladować którego z powszechniéj znanych wirtuozów, jako to: Kalkbrennera, Moschelesa, Thalberga i t. p., imitując nietylko ich osobę, ale i grę zarazem, to tyle było w tém prawdy i tak komicznie przedstawionéj, że zanoszono się od śmiechu. Sam Liszt nie jednokrotnie był świadkiem, gdy Szopen rozpuściwszy włosy na głowie, począł w najzabawniejszy sposób jego samego udawać; genialny ten artysta nie

tylko się tém nie obrażał, lecz owszem, serdecznie przyklaskiwał dzieląc ogólną wesołość.

Bywały jednakże chwile, w których Szopen unikał liczniejszych towarzystw, poprzestając chętniéj na małém kółku wybranych przyjaciół, z którymi najmiléj czas u siebie w domu przepędzał. Do liczby tych należeli: Jan Matuszyński, Stefan Witwicki, Fontana, niekiedy Mickiewicz; z cudzoziemców zaś Ary Schefer, Henryk Heine, Mejerbeer, Michelet, Liszt, Stockhausen i w. i. (1). Na jednym wieczorze, w czasie gdy Szopen począł improwizować na fortepianie, po prawéj stronie grającego zasiadł Mickiewicz, po lewéj zaś Słowacki. Czarująca gra Fryderyka dziwnie wielkie na słuchaczach wywierała wrażenie; w wielu oczach łzy zabłysły. Mickiewicz i Słowacki słuchając długo w milczeniu tego wysokiego natchnienia, wyciągnęli do siebie dłonie i w wzajemnym uścisku zapomnieli uraz, waśniących aż dotąd dusze tych dwóch wielkich mistrzów słowa.

Jeżeli który z przyjaciół lub towarzyszów młodości Fryderyka, zawitał z Warszawy w progi jego, wtedy posyłał zaraz z uwiadomieniem do licznych uczniów, iż dnia tego lekcyi nie będzie, a wszystkich obecnych u siebie gości zapraszał aby mu dzień ten poświęcili. Jakoż kazawszy sprowadzić odpowiednią liczbę powozów, wiózł najprzód wszystkich na bulwary na śniadanie, ztamtąd za miasto gdzie na spacer, najczęściéj do Montmorency. Przepędziwszy swobodnie kilka godzin na świeżém powietrzu, wracano do jednego z piérwszych paryskich restauratorów na obiad, daléj na teatr, a po teatrze jeszcze gdzie w wesołe jakie miejsce na herbatę. Oczywiście, dnia tego był on amfitryonem gości, nie pozwalając na najmniejszy z ich strony wydatek.

To pełne jednakże ruchu życie w Paryżu, poczęło zbyt wcześnie wyczerpywać siły jego fizyczne. Zdrowie Fryderyka od młodości nawet tak zawsze wątłe, nie było w stanie wytrzymać téj gorączkowéj atmosfery, w jakiéj mu oddychać wypadało. Więc téż przed 1840 r. zaczęły się objawiać symptomaty choroby, która w dziewięć lat późniéj, miała go wpędzić do grobu.

(1) Bodo Albrecht Stockhausen, uczeń i przyjaciel Szopena, był następnie ambassadorem króla hanowerskiego w Paryżu; do dnia dzisiejszego przechował wielką cześć i miłość dla pamięci swego nauczyciela. Zamieszkując obecnie Drezno, pokazywał mi wiele pamiątek po Fryderyku, które z religijną czcią przechowuje; pomiędzy innemi: portret tegoż prześlicznie rysowany przez Kwiatkowskiego. W listach swoich, Szopen bardzo często wspominał o Stockhausenie.

Około 1838 roku poznał kobietę, ktora następnie wielki wpływ na resztę jego życia wywarła: była nią genialna autorka wielu powieści, znana światu pod pseudonimem Jerzego Sanda. W jednym z listów pisanych do rodziców, Fryderyk opowiadał jakim sposobem ją poznał. Było to na wieczorze; Szopen zasiadł do fortepianu i kiedy pośród gry spojrzał niechcący przed siebie, ujrzał kobietę nieruchomie, niby kamienny posąg naprzeciwko stojącą, która swemi ciemnemi oczami, zdawała się go na wskróś przeszywać. Po skończonéj muzyce, nastąpiło wspólne bliższe poznanie, atoli kobieta ta, przykre na nim zrazu wywarła wrażenie. „Poznałem wielką znakomitość, panią Dudevent, znaną pod imieniem George Sand, ale twarz jéj niesympatyczna, nie podobała mi się.“ Tak pisał do rodziców w piérwszéj chwili; wkrótce jednakże biédny Fryderyk zmienił zdanie, lubo o tém nie uważał za stosowne rodzicom donosić. Odtąd zawiązał się ścisły pomiędzy nimi stosunek, trwający do 1847 r. Przedmiot ten delikatny ze swojéj natury, bardzo jeszcze niedokładnie jest znanym; jakiś rodzaj tajemniczości go otacza. Pisarze nawet, co pióro swoje pamięci Szopena poświęcili, jak Liszt, Enault, Fogler, Ehlert Ludwik, bardzo niedokładnie i prześlizgując się tylko, o tém wspominają. George Sand w pamiętnikach swoich, najobszerniéj dotąd o tém mówi, ubolewając niezmiernie, iż w chwili gdy nieszczęsne zerwanie nastąpiło, Jan Matuszyński już nie żył. Jego przyjaźń dla Fryderyka, wpływ jaki na nim wywierał, były niezawodną rękojmią odwrócenia lub sparaliżowania szkodliwych i jątrzących sieci, jakiemi według przekonania George Sanda, intryganci oplątali Szopena. Jeżeli już zerwanie było nieuniknioném, to przynajmniéj Matuszyński nie byłby dopuścił, aby ono w tak gwałtowny sposób nastąpiło, a tém samém tak szkodliwe skutki dla zdrowia Fryderyka pociągnęło. W sprawie téj, dopóty nie będziemy dokładnie objaśnieni, dopóki nie zjawi się własnoręczne pismo Szopena, odsłaniające nam drugą stronę medalu. Do rodziców nie chciał lub nie mógł

1838-1847

o tém pisać, niepodobna znowu, ażeby który z żyjących jeszcze jego przyjaciół, nie posiadał listu traktującego w tym przedmiocie. W ogólności, wszystkie jakie jeszcze istnieją własnoręczne pisma Fryderyka, należałoby niewzłocznie podać do publicznego użytku, doświadczenie bowiem uczy, że łatwiéj aniżeli się zdaje, uledz mogą zatraceniu; bez nich zaś przyszłemu biografowi niepodobna będzie dokładnie ocenić go jako człowieka, jako wielkiego artystę. Wielu bowiem pisarzy wyrobiło sobie zdanie, iż Szopen był miękkiego, niewieściego charakteru istotą; że w utworach swoich rozlał zbyt wiele drobiazgowéj delikatności, cechującéj zwykle słabe organicznie natury; że dlatego tęsknota i melancholia, jest piętnem charakterystyczném jego utworów. Ale zapominają że w *Sonatach*, *Marszu żałobnym*, *Balladach*, *Etiudach*, a nadewszystko *Polonezach*, tyle jest dzielnéj, jędrnéj i głębokiéj siły duchowéj, że tylko w najpotężniéj fizycznie uorganizowanych kompozytorach, podobną znaleźć można. Kto rozpatrzył się w listach Fryderyka powyżéj przytoczonych, ten przyzna, jak dalece zarzut przypisywanéj mu zniewieściałości jest niesłusznym. To co było skutkiem ciągłéj irytacyi nerwów, w późniejszéj mianowicie epoce jego życia, pochodzącéj z ogólnego osłabienia jakie na nim nieuleczona piersiowa choroba wywierała, wzięto za normalny stan jego natury, i na téj podstwie najfałszywsze wnioski potworzono. Józef Sikorski w pięknéj swojéj pracy pod tytułem: *Wspomnienie Szopena* (1), dał już w tym względzie maleńką odprawę podobnym zarzutom i ma słuszność gdy utrzymuje, że zagranica pozna go dopiero wtedy, gdy szczegółowy rozbiór wszystkich dzieł Szopena, dokonanym zostanie na tle własnoręcznych jego listów do rodziny i przyjaciół pisywanych.

Drezno, 10 września 1868 r.

BIBLIOTEKA INSTYTUTU FRYDERYKA CHOPINA NARODOWEGO
TOWARZYSTWO IM. F. CHOPINA BIBLIOTEKA WARSZAWA

(1) Obacz Bibliotekę Warszawską za miesiąc grudzień 1849 r.

Moskale w Warszawie w r. 1863 mnostwo
zamiątek i listów przesłanych przez
Wielkiełkę Chorążną panią Skirtino
do Warszawy niepowrotnie zniszczyła
wyrzucając wszystko na ulicę z mieszkania
na ulicy Chorążej zajętego przez
ówczesnego Adiutanta Zamoyskiego po zamachu

na Gubernatora

8549
NARODOWY
INSTYTUT
FRYDERYKA
CHOPINA
B/1

Akc. 88/91

80.000 –

MŁODOŚĆ
FRYDERYKA SZOPENA,

(Rok 1830 i następne).

PRZEZ

Maurycego Karasowskiego.

Oddruk z Biblioteki Warsz

WARSZ

W drukarni Gaz

186

TOWARZYSTW BIBLI WARSZ

B/1
kas./12